

NUMER ŚWIĄTECZNY — PODWÓJNY

ŻYCIE

ROK XI — NR 51/52 (548/549)

NIEDZIELE 22 - 29 GRUDNIA 1957 R.

CENA 2/-



H. Dürer: BOŻE NARODZENIE (Część środkowa ołtarza z około 1500 r.)

ŻYCZENIA PRYMASA POLSKI

Opiekuńcze Oczy świętej Bożej Rodzicielki, czuwającej nad Żłóbkiem Boga-Człowieka, niech dziś spoczną na każdej rodzinie pol-

KOLEDA 1957

*i cóż człowiek cóż człowiek
urodził się umrze
Tobie
niebo płonie
Tobie Aniołowie
śpiewają w chórze*

*grzywę niepodległą
morze do stóp Ci skłania
i gotycki koronkę przędą
kamieniem szkłem cegłą
Gloria in excelsis Deo
dywany ptasiego śpiewania*

*ale Ty ludzkis kształt
ze wszystkich obrał
wzrok Twój padł
gdzie szumiła
struga lichego dobra*

*jakiż hoła Ci nieść
by wagę daru przemógł
staroświecki dziwaczny leśny
nie nam śpiewam na cześć
ale miłowaniu Twemu*

Mieczysław Paszkiewicz

Tej radości w jedność, pod opieką Królowej świata i Polski Królowej, życzę Rodakom moim, od Żłóbka Betlejemskiego, na dzień Bożego Narodzenia i Nowego Roku, dzieląc się ze wszystkimi symbolem jedności, białym opłatkiem.

Z braterskim oddaniem błogosławię.

(—) Stefan Kardynał Wyszyński
Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński i Warszawski, Prymas Polski.

Warszawa, w grudniu 1957 r.

Życzenia zostały nadesłane do Świętowego Związku Polaków z Zagranic



PRYMASOWI POLSKI

J. Em. Ks. Kardynałowi STEFANOWI WYSZYŃSKIEMU,
Episkopatowi Polski, Duchowieństwu i Braciom w Kraju,
Opiekunowi Uchodźstwa Polskiego,
J. E. Ks. Arcybiskupowi J. Gawlinie,
Ks. Infułatowi B. Michalskiemu,
Ks. Prałatowi W. Staniszewskiemu,
Ks. Prałatowi L. Bombasowi,
Duszpasterzom polskim z Księżmi Rektorami na czele,
wszystkim Rodakom na wychodźstwie,
a wśród nich naszym wszystkim Przyjaciołom i Czytelnikom,
W OKRESIE ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA

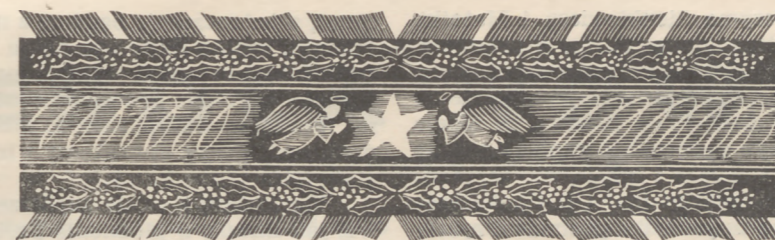
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

przesyłają:

Redakcja ŻYCIA

i

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWCZY
„V E R I T A S”



ARCYBISKUP JÓZEF FELIKS GAWLINA

KULTURA POLSKA

Kazanie na inaugurację Katolickiego Tygodnia Wydawniczego w Londynie, wygłoszone w londyńskim Brompton Oratory, w dniu 1 grudnia 1957 r.

Niedawno wstrząsnęła mną niezwykła powieść autora zamorskiego, która jest kwintesencją modnego dziś kultu smiałych, silnych i bezwzględnych ludzi.

Otóż w XXI wieku powstaje klub t.zw. „Łowców Głównych”, tj. tych intelektualnie i fizycznie najwybitniejszych jednostek, których celem jest panowanie. Ich pałace kapłają złotem i marmurem, ich interesy stoją świetnie, lecz to jeszcze nie daje im satysfakcji. „Ego solus altissimus — Ja jestem najwyższy!” — to jest ich hasło, usuwając więc wszystkich konkurentów, zdobywają ich głowy jako trofea. „Albo twoja głowa znajdzie się ostatecznie w witrynie silniejszego, razem z całym zbiorem zdobytych przez ciebie samego głów, a twoje żony i dzieci zejną do plebsu, albo zdołasz umrzeć jako zwycięzca śmiercią naturalną, a wtedy najstarszy syn twój umieści ci twoje ciało w przezroczystym pomniku z masy rodoidowej, i wtedy będziesz na zawsze przedmiotem podziwu i zazdrości ludzkiej!”

I tak, zabiwszy najgroźniejszego konkurenta, jeden z tych łowców głów przeżywa chwilę największego tryumfu. Czy jednak nie padnie on sam wkrótce ofiarą jeszcze silniejszego? Wtedy całe jego życie chybiłoby celu. Gdy tłum współzawodników składa mu życzenia, on, chcąc zachować swą sławę, spełnia kielich trucizny. „Teraz nie możecie mi wyrwać mej sławy. Dumny stać będę w rodoidzie. Walka moja skończona, cel życia osiągnięty!”

* * *

Mój Boże, cóż to znaczy? Przecież to naturalistyczna teoria darwinowska o zwycięstwie najsilniejszych jednostek w walce selekcyjnej, przeniesiona na społeczeństwo ludzkie. I to ma być kiedyś nazwane kulturą?

Więc po to Arystoteles i Platon uczyli nas filozofii; więc po to piękny i genialny Aleksander Macedoński zwyciężył despotyczną Azję, Benedykt cywilizował Europę; po to święci Augustyn i Tomasz dali nam swoje systemy myślenia chrześcijańskiego, Krzyżowcy zdobywali Grób Pański, Polacy stali się przedmurzem chrześcijaństwa, Kościół wychowywał narody, a Chrystus wstąpił na Golgotę, ażeby tygrys w skórze ludzkiej stanął u szczytu piramidy dziejów, albo też by barbarzyńca wschodni uważał się za pana świata?

A przecież uczono nas, że kultura postępuje z każdym wiekiem. A co znaczą Oświęcim, Treblinka i Dachau, co Kołyma i Katyń, komory gazowe, deportacje, Sybir, abażury ze skóry ludzkiej i to wszystko mimo ogromnego postępu wiedzy? Wiedocześnie nie od wiedzy samej zależy kultura, widocznie zabrakło jakiegoś ważnego składnika w jej kompozycji. Nauka i wiedza bowiem, indyferentne wobec zagadnień moralnych, mogą być podobne do owego niewolnika z 1001 nocy, który gotów jest zarówno „zbudować miasto, lub je zburzyć, zabić króla, rzekę przekopać lub cośkolwiek innego uczynić”. Nauka i wiedza chcą funkcjonować bez uwzględnienia celu właści-

wego, tj. człowieka. Zabrakło więc ducha humanitarnego, który nie z nauki, lecz z myśli religijnej wypływa.

Czymże jest kultura? Proboszcz wiejski powie, że to zwycięstwo ducha nad materią, a profesor ogłosi, że „cywilizacja jest metodą ustroju życia zbiorowego” (Koneczny). Jest to więc i uprawa zdolności człowieka, a także ogół pozytywnych osiągnięć ducha ludzkiego.

Kultura nasza wyrosła z religii chrześcijańskiej, z filozofii greckiej i z prawa rzymskiego, do czego obecnie dodać należy nowoczesną technikę.

Gdy np. totalizm nas zmuszać chce do mechanizacji życia lub do dyktatury, odzywa się w nas Grek lub Rzymianin. Gdy słyszymy o mordowaniu Żydów, wtedy oburza się w nas chrześcijanin. Tak samo odrzucamy jednostronny rozwój techniki, albowiem sądzimy, że duszą kultury jest kultura duszy.

Religia, uznając zasadniczo samodzielność kultury świeckiej, wspiera ją pozytywnie jako wartość transcendentalną i ratuje ją od zesłizgu w barbarzyństwo. Kościół pielęgnuje kulturę przez swoją pracę nad sumieniami i przez zdrową doktrynę zwłaszcza w zakresie człowieka, rodziny, małżeństwa i państwa.

Jeżeli więc religia zbawienny wpływ na kulturę wywiera, czemuż tedy podnoszą się głosy przeciwko niej jako dźwigni i sile kulturalnej? Dlatego, że religia obowiązuje. Nie jest to nauka, której człowiek się uczy np. na wzór matematyki. Gdyby tak było, wystarczyłoby mieć w swojej pracowni tablicę i krede do pisania równań algebraicznie - religijnych. Owszem, religia jest równaniem pomiędzy Bogiem a człowiekiem, nędzą a bogactwem, ciemnością a światłem, świętością a zepsuciem, nicością a absolutem. I strasznego tego równania wcale nie rozwiązuje się umysłem, lecz rozwiązuje się cnotą. Religia obowiązuje.

Bóg jest największą namiętnością ludzkości. Istnieje nie tylko auri sacra fames — przeklęta żądza złota, ale i Dei sacra fames — święte pożądanie Boga. Religia więc jest namiętnością rodzaju ludzkiego, ale religia jest także cnotą, a więc wymaga wprawy, ćwiczenia, abnegacji, ascezy.

„Nieprzyjaciołom religii zdaje się nieraz, że walczą tylko z cnotą — a znajdują jeszcze namiętność. I znów zdaje się im, że mają do zwalczania tylko namiętność, a ku swojemu zdziwieniu znajdują cnotę”. Są to słowa ojca Lacordaire'a sprzed stu laty.

A cnota obowiązuje. Ci, co z całokształtu naszej kultury usunąć pragnęli wpływy religii Chrystusowej, byli chorzy, zanim o tym wiedzieli. Trzymając ucho rozbitej skorupy w rękę, wierzyli jeszcze w pełne dzbany. Jakaś dziwna nielogiczność pozwala im przyznawać, że dziś jeszcze jedyną ostoją wolności i kultury w Polsce jest Kościół, a równocześnie sprzeciwiać się temuż Kościołowi jako dynamicznej sile przyszłości kultury polskiej.

Niebezpieczeństwo zagrażające kulturze polskiej wcale nie zmalało od zeszłego roku, gdyż nie zmieniły się cele Molocha.

A chodzi o walkę z Kościołem katolickim, opiekunem i stróżem kultury.

Czy spoglądamy na nią oczyma Sienkiewicza i Matejki, czy się cieszymy wielkością niedocenionego Pawła Włodkowica, czy dumni jesteśmy z tolerancji polskiej, czy też szcycimy się, że może jedni w całej Europie przeciwstawialiśmy się każdemu totalizmowi od tysiąca lat — zawsze jest prawdą, że dzieje narodu polskiego usiłowały w czyn wprowadzić zasady Ewangelii. „Polska to nie tylko ziemia i ludzie, ale to także idea życia zbiorowego i przede wszystkim ona“ (A. Chołoniewski). Choć dzieje nasze nie były samym tylko pochodem rycerskim, ani też procesją wyznawców i dziewic, to jednak ponad błędy i winy nasze prowadził nas Bóg swoimi drogami do wielkości. Duch dziejów polskich!

Lecz czy istnieje w ogóle sens ostateczny dziejów, niby sens sensów historii? Trudno go uchwycić samym rozumem, jak to próbowała filozofia optymizmu (B. Croce), lub też determinizmu, którego ilustrację widzimy w postaci maszerujących pod białym batalionem roboczych. Żywym i godnym protestem przeciw takiej tyranii był nasz Poznań.

Dla nas, jako chrześcijan, ostatecznym celem historii jest całkowite ujawnienie wspaniałości Bożej, mimo grzechu i tragizmu świata. Historia nie jest wiecznie toczącym się kołem, lecz dąży do pewnego celu, poza który już sięgać nie może.

Cokolwiek nie działo by się w historii ludzkości wszystko stanie przed sądem lub błogosławieństwem tego celu ostatecznego, do którego dzieje zdążają.

Przegląd dziejów odbył się już gdy Chrystus zstąpił do piekieł, by wykazać sprawiedliwym Starego Zakonu wierność Boga i docelowość Bożych rządów.

Ale ostateczny przegląd dziejów ludzkości odbędzie się podczas Sądu Ostatecznego, kiedy Bóg w jednym końcowym akcie zbiorowym pokaże ludzkości mądrość swych rządów i uraduje tych, co wiernie Mu pomagali.

Sądowi Chrystusowemu podlegać będą więcej niż indywidualne czyny człowieka, bo wszystkie dzieła ludzkości, kulturalne, naukowe i artystyczne, systemy filozoficzne, gospodarcze i polityczne, doktryny religijne, potęgi narodowe i państwowe. Odsłonięte zostanie wówczas również znaczenie wojen i rewolucji pod względem ich wartości wobec myśli Bożej, albowiem wszelkie dzieje są albo zbliżeniem się do Boga, albo oddalaniem się od Niego.

Śmiemy żywić nadzieję, że Polska, jej kultura, nasza wspólna treść ideowa, jak dotąd, za dobre i wierne poczytane będą. Specyficzny sens narodu naszego nie został chybyony. Pierwsze Tysiąclecie zdało egzamin!

Ale jak będzie na przyszłość?

Istnieją dawno zgasłe gwiazdy, których światło do nas jeszcze dochodzi, chociaż gwiazdy te już nie świecą. Samolot, chociażby jego motor już nie działał, trzyma się jeszcze przez krótką chwilę w powietrzu. Czyżby tak było z naszą kulturą? Bron Boże! Tym, co twierdzą, że wszystko się kończy, odpowiadamy: Nieprawda, gdyż zawsze coś nowego się rodzi. „Bacz przeto, aby światło, które jest w tobie, ciemnością się nie stało“ (Łk. 11, 35).

Chociażby Polskę przez pewien czas wyłączono z polityki, tak jak za czasów kolonizacyjnych, to przecież przyszłość należy do wierzących, a nie do sceptyków. Nie dajmy się zwabić dźwiękowi fletu wszechsłowińskiego, granego przez satyrę i satrapę, lecz kroczmy nadal drogą rzymską, która jest właściwym „iter Polonum — drogą polską!“ Stójmy mocno na

ziemi, a jednocześnie bądźmy z niebem z dobrych stosunkach. Polityka świata może być pełna wysiłku rozumowego, a równocześnie bez sensu. Rozpoznawajmy dobrze znaki czasu, również w Polsce. Pewna przebudowa społeczna była potrzebna, lecz to, co widzieliśmy, to robota termitów lucyferiańskich, drążących dusze, charaktery i instytucje, ażeby z nich pozostały tylko puste formy.

Nie jesteśmy wcale zapatrzeni w nową tragedię narodową, jak Eneas z płomienie Troi, lecz ufamy Bogu i niezłomnemu duchowi Narodu.

Nikt nie zna jeszcze przebiegu dramatu, którego kurtyna podniosła się w 1939 roku. Nie wiemy nawet, czy wtedy rozegrał się ostatni akt jeszcze starego, czy też pierwszy akt już nowego dramatu.

Przyszłość jednak, o której mówiono, już się rozpoczęła.

Naszym zadaniem i właściwym celem Katolickiego Tygodnia Wydawniczego, którego inauguracja ma obecnie miejsce w Londynie, jest pomoc Polsce.

Wprawdzie troska o chleb zjadła niejednego talent. Byliśmy zmęczeni. A jednak dokonaliśmy wiele, czy to pod względem duszpasterskim, czy to wydawniczym, czy wreszcie pod względem naukowym. A żyliśmy nie z wywiezionych zawczasu klejnotów, ale z tego, co nas boli. Wróg czekał aż serce polskie się załamie. Poznań i Częstochowa dały odpowiedź. Nie ma więc miejsca na beznadziejność!

Spieszmy ku końcowi. Każda kultura dąży do ekspansji, póki ma siły żywotne.

I któż byłby nieświadom gigantycznej walki, jaka się w Kraju rozgrywa, nieświadom rozprawy dwóch kultur: naszej i turańsko-sowieckiej, chrześcijańskiej i przeciwbożnej, wolności i niewolnictwa?

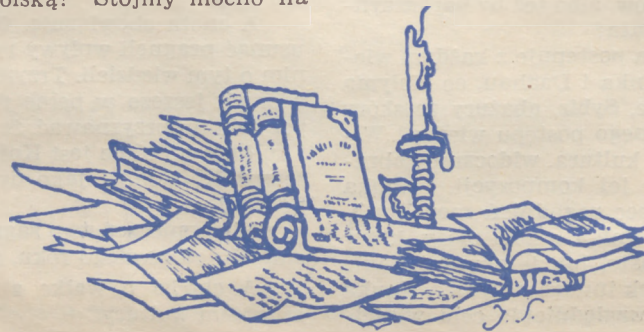
Wróg prowadzi walkę przeciwko wolności chrześcijańskiej, taktykę frontalną i erozyjną, przez uderzenia, podkopy, miny, wyłomy, przy pomocy Holofernesów, Efiatesów i Tersytesów. Jest to walka na śmierć i życie, gdyż synteza tych kultur jest niemożliwa. Albowiem „co za ugoda Chrystusa z Belialem?“ (2 Kor. 6, 15).

Jest to rozprawa dramatyczna. My zaś jesteśmy w niej posiłkami Ojczyzny, supplementum divinum et humanum — wspomóżenie Boskie i ludzkie.

Wybitnym składnikiem kultury polskiej jest jej duch Maryjny. Postać Matki Najświętszej i Jej wpływ są aż nadto widoczne w dziejach polskich. W czasach przedchrześcijańskich religia była wyłącznie sprawą męczyzn. Tam, gdzie w chrześcijaństwie religia miała cechy zbyt męskie, wyradzała się w dufność, twardość i pewność siebie. Brakło jej czaru dziecka i uroku niewiasty, a więc cech pełnego człowieka. Jeżeli słusznie mówiono o „dulcis sanguis Polonorum — słodyczy krwi polskiej“, to zawdzięczamy tę słodycz naszego Narodu i naszej kultury przemożnemu wpływowi Serdecznej Matki naszej. W Jej duchu rozpoczynamy niebawem drugie Tysiąclecie naszej kultury.

Niechże Królowa Polski, Matka Łaski Bożej, prowadzi Naród nasz drogą miłości społecznej i wolności, albowiem, jak mówi św. Paweł Apostoł: „Nie jesteśmy synami niewolnicy, ale wolnej. Którą to wolnością Chrystus nas obdarował!“ (Gal. 4, 31).

Arcybiskup Józef Feliks Gawlina



JULIUSZ LEO

WESOŁA NOWINA

LUDOWE ORATORIUM JASEŁKOWE

Niniejszy fragment wyjęty jest z autentycznego ludowego oratorium jasełkowego, które było od dawna grywane po wsiach polskich w okresie świąt Bożego Narodzenia. Pierwszego zanotowania tego widowiska dokonał około roku 1880 o. Wincenty Żyworonek z klasztoru franciszkanów w Krakowie. Przeniesiony był następnie do klasztoru w Grodnie, gdzie dokończył żywota. Pozostawione przez niego zapiski stanowiły dla mnie cenne wskazówki przy odtwarzaniu całości oratorium już na podstawie osobistych moich poszukiwań i badań terenowych po wsiach krakowskich i grodzieńskich. Prace te ukończyłem w r. 1939 i tylko wybuch wojny uniemożliwił mi wydanie drukiem widowiska.

Oratorium „Wesoła Nowina“ wywodzi się ze średniowiecznych misterii religijnych. Jest ono niewątpliwie dziełem zbiorowym i dokładna analiza zarówno tekstów słownych jak i przede wszystkim muzycznych wykazuje proces narastania

tematów w ciągu wielu lat, w czasie których widowisko było wykonywane wprawdzie w ziemi krakowskiej a potem w innych częściach kraju. Miejscem narodzin jest niewątpliwie Kraków. Uznać też wypada za pewnik, iż pierwszy schemat tego oratorium wyszedł od kołędników krakowskich, którzy już w XVI wieku utworzyli rodzaj własnego cechu i na tym właśnie widowisku oparli swe ruchome przedstawienia w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Do odtwarzania oratoriów dzielili się kołędnicy na grupy po 11 osób, z których 8 stanowiło zespół aktorski a pozostałych 3 akompaniujący zespół muzyczny w składzie: skrzypce, flet i klarnet. Nieśli oni ze sobą: szopkę wewnątrz oświetloną, gwiazdę na długiej tyczce, dwie zasłony na sznurach i podporach, sukno włochate imitujące murawę, kufry z imitacjami wonności i klejnotów oraz ogień bengalski z podstawą do zapalania.



W DRODZE:

Przewodnik grupy prowadził swych kołędników pod upatrzone zawczasu domostwo, gdzie stając śpiewali oni:

Pójdziemy, bracia, w drogę z wieczora,
Wstąpimy najprzód do tego dwora.
Będziemy śpiewać wszędzie
O tak wesołej kołędzie,
Hej kołęda, kołęda!

A nie żałujmy swojej ochoty
Zaspiewać Panu stojąc przed wroty.
Wykrzyknijcie wielcy, mali,
Żeby nam co prędzej dali!
Hej itd.

Poszliśmy wszyscy w jednym strzemieniu,
Ale nie wszyscy w dobrym odzieniu,
Bo niektórzy w worowinie,
Ledwie barki nią owinie!
Hej itd.

Sami nie wiemy czego czekamy,
Na ciężkim mrozie już ledwo trwamy.
Barwa na nas bardzo licha.
Już niektórzy ledwo dycha!
Hej itd.

Jakosik, bracia, o nas nie dbają,
Ze nas na dworze długo trzymają.

Nie trzymajcież nas na rzeczy,
Bo już drugi ledwo skrzeczy!
Hej itd.

Możec kołędę dziś dostaniemy;
Jak nam nie dadzą, to odejdziemy!
I będziemy rozgłaszali,
Ze tu skąpcy — nic nie dali!
Hej itd.

(Tekst skrócony.)

Ta postorałka otwierała kołędnikom wrota jednego domostwa. Kiedy jedni zajęci byli urządzeniem wnętrza do przedstawienia, drudzy śpiewali:

Narodzenia dzień Bożego
Jest kołędą świata tego.
Tedy się radujmy,
Wszyscy wyśpiewujemy: Kołęda, kołęda!

Oto dziś w niebie Anieli
Po kołędzie są weseli,
Tedy się radujmy,
Wszyscy wyśpiewujemy: Kołęda, kołęda!

(Tekst skrócony.)

Po ukończeniu przygotowań przewodnik grupy występując przed zasłonę tworzącą rodzaj kurtyny wygłaszał następujące

POWITANIE:

Wszystkim wobec kołędy najprzód winszujemy,
Zanim Wesołą Nowinę państwu opowiemy.
Naszym będzie staraniem, by niedługo bawić;

Raczej tylko łaskawie ucha nam nadstawić.
Przez lat cztery tysiące od grzechu Adama
Wszystkim ludziom zamknięta była niebios brama.
Pod ciężarem przestępstwa jęczał naród cały;
Śmierć, grzech, moce piekielne nad nim panowały!
A co większa, że ludzie i wszystkie stworzenia
Nie byli w stanie zgładzić tego przewinienia.
Lecz się Ojciec Niebieski zlitował nad światem;
Zesłał Syna swojego, by się nam stał bratem.
Owóż Ten się dziś dla nas z czystej Panny rodzi;
Pokój światu przynosi, ciężar życia słodzi.
Ten nas z Ojcem pojedna. Ten z piekła wybawi,
Ten nam niebo otworzy i wiecznie nas zbawi!

Wystawimy tu państwu, w jakim przyszedł stanie,
Kogo wezwał na pierwsze siebie powitanie;
Co pasterze robili, zanim ich wezwano,
Jako się sposobili, gdy im iść kazano;
Na jakie się ofiary dla Pana zdobyli.
Zgola wszystko ujrzycie, jakbyście tam byli!



ODDZIAŁ PIERWSZY:

(Na murawie siedzą pasterze: Michał i Szymon)

Michał: Coś tam naszego Bartosza długo nie widać...
Szymon: Ano jakże inaczej miało być? To nie mała droga z Jeruzalem do nas... A bo i co?
Michał: Przykrzy się bez starszeństwa i młodzi brykać poczynają...
(wchodzi pasterz Bartosz — tamci powstają)
Bartosz: Niech będzie pochwalony...
Tamci: Na wieki wieków...
Michał: Właśnie Bartoszu o tobieśmy rozprawiali.
Bartosz: A bo co? Mrówki was nalazły i usiedzieć na miejscu nie umiecie? (śmieje się)
Szymon: Nie w tym rzecz! Michał zauważył żeście długo byli w drodze, a on tu nijakiego posłuchu u pasterzą nie zażywa. Skądże Bóg prowadzi?
Bartosz: Z Jeruzalem wracam a i do Emaus wstąpiłem po drodze...
Michał: A cóż tam widziałeś, cóż słyszałeś?
Bartosz: Dużo by było opowiadać, ale ślądźmy, bom okrutnie drogą zmaltretowany.
(ślądzą na murawie)
Szymon: Dali wam tam dziwów wytłumaczenie, cośmy je razem oglądali?
Bartosz: A jakże! I cosik więcej mi mówill... (wzdycha)
Tamci: Na cóż, cóż? Mówcie raźniej!
Bartosz: Kiej to nie takie proste... Sam nie wiem, od czego zacząć...
Michał: A no od tych prorocत्व, co nam je jeden opowiadał...
Bartosz: Dobryś! Od prorocत्व mam zaczynać, a przecie nim mi tam one klarowali, cuda prawdziwe oglądałem!
Szymon: Cuda, mówicie? Jakie cuda?
Bartosz: Ano gwiazda nisko nad ziemię se kucnęła i tera świci kędy wschód słońka...
Michał: Toć i my widzimy! (ogłędają się za siebie)
Bartosz: Ziemia skakała bez trzy noce...
Szymon: To i my czuli. (patrz na murawę)

Bartosz: Wody Morza Martwego się poburzyły i podeszli aż pod mury Jerycha...
Tamci: No, no! O tym gadajcie!
Bartosz: Kiej samem nie widział, aleć inni prawili...
Michał: E! Samiście nie widzieli, to pewnikiem zmyślone bajki jakie!
Bartosz: Nie są to żadne bajki, ale najprawdziwsza prawda święta, bo o tych dziwach dawno już prorokowano! Nie chcecie słuchać, to... (zabiera się do odejścia)
Tamci: Ależ, Bartoszu! Ostańcie i opowiedzcie nam! Owce czekają, a my pilnie was słuchamy...
Bartosz: To nie droczcie się i uchów nadstawiajcie. Wszystko powiem, jakoż tam było, a tu macie gościńca... jeruzalemskie przysmaki. (wyjmuje z torby placki i wręcza je pasterzom, którzy łapczywie zabierają się do jedzenia)
Bartosz: (po chwili) Kiedy zaszedłem na koniec do Jeruzalem, ruch tam był okrutny i rozhoworek. Z kotlinki Morza Martwego ludzi się moc nazleciała i jeden bez drugiego prawil, iż to koniec świata nadchodzi, a z nim ów Sąd Ostateczny... Kapłani w świątyniach poczęli nawoływać do opamiętania, a kiej to nie skutkowało, wyszli se na miasto z księgami i nuże tam ludowi czytać owe prorocत्व...
Szymon: O tym mów, mów!
Bartosz: (zeżłony) Kiej nie możesz strzymać, to odejdz, a Michał sam posłucha!
Michał: No dobrze już, dobrze... Cichaj, Szymek!
Bartosz: (łagodnie) Ze tyz zawsze wtrącać się musicie! Poszedłem więc gdzie ciżba okrutna, w takiej piknej dolince, zara za murami miasta. Tam prawil onże kapłan, co tu tera usłyszycie. Mówil: „Rzekł Pan: Położą nieprzyjaźń między tobą a niewiastą i między nasieniem twym a nasieniem jej, Ona zetrze głowę twoją, a ty czyhać będziesz na piętę Jej...“, co winno oznacza, iż Bóg wyrzekł te słowa w Raju do złego ducha, który zwiódł pierwszą matkę naszą, Ewę...

(wszyscy trzej śpiewają)

Ach, zła Ewa narobiła,
Kłopotu nas nabawiła;
Z wężem sama rozmawiała
I jabłuszka kosztowała!

Bartosz: (po chwili) I tak Pan Bóg wypędził Ewę i Adama, naszych prarodzciov, z Raju a grzech pierworodny poszedł za nimi i potem legł se jakby wielgi kamień na duszach ludzkiego rodzaju...

(śpiewają w dalszym ciągu)

Z Raju pięknego miasta,
Z Raju pięknego miasta,
Wygnała jest niewiasta,
Wygnała jest niewiasta,

Dla jabłka skuszonego (bis)
Przez węża podanego. (bis)

Wędrujże, Ewo, z Raju, (bis)
Już cię tu dobrze znają. (bis)

Fora, Adamie, fora! (bis)
Z tak rozkosznego dwora! (bis)

Bartosz: (po chwili) Długieź były dzieje Adamowego potomstwa... Aże nastał Abraham, któremu Bóg rzekł: „I w tobie błogosławione będą wszystkie narody ziemi“, co kapłan klarował, iż oznacza to narodziny Messyjasza i Ten ci zbuduje Ojcu Kościół wiernych na ziemi i Ten ci królować będzie aż do skończenia świata... (nadchodzi wieczór i mrok się robi na scenie). No, bracia, pora będzie kończyć na dziś bajanie. Jutro także dzionek nastanie, to wam dalej prawić będę, a tera trza stada dogłędac. Ja z

Michałem się ostane, bom drogą utrudzon, a ty, Szymek, chyba obejść chudobę, po czym do nas wracaj i spać się pokładnij!

Szymon: (śpiewa)

Oto wilk, oto wilk!
Oto goni owce!
Nie błakajże się, owieczko,
By nie porwał co chce!
Pasterz duszy twojej
Strzeże pilno trzody swojej!

(za sceną)

Uciekaj, uciekaj!
Do owczarni Jego,
Byś nie wpadła w ostre zęby
Wilka piekielnego!

Bartosz: (po chwili) Coś mi się widzi, że długo nie pośpimy... Mam jakoweś czucie dziwnych rzeczów...

Michał: A cóżby też miało być? Ej dalibyście, Bartoszu, pokój złym myślom... Śpijmy, a Bóg co chce to i zdarzy...
(kładą się na murawie i zasypiają)

Szymon: (woła za sceną) Helo, bysiu! Helo! (słychać kilka tonów na fujarce) — (śpiewa)

Paśćciez się owlecki okole górecki;
Z onej strony pola zieleni sie rola.

(wchodzi na scenę i mówi:)

O... posnęli na dobre... Trza i mnie kłaść sie...
(układa się obok Bartosza i zasypia)

Chór za sceną:

Tuśząc pasterze, że dzień blisko,
Wynali owce na pastwisko,
Z obory, z obory, z obory,
Zapędzili pod bory, pod bory;
Trafili na dobrą trawę,
Pokładli się na murawę;
Posnęli, posnęli.
A bydło jadło, jadło, jadło, (bis)
Potem się pokładło (bis).



ODDZIAŁ DRUGI:

(Scena i osoby te same. Pasterze śpią)

Chór za sceną:

Gdy pasterz znużony
Snem w polu spoczywa,
Słyszy, że go z budy
Głos jakiś wyzywa.
Porywa się jak sparzony
Sądząc, że wilk zakradziony
Owce mu zabrał!

(w czasie śpiewu Szymon budzi się i nasłuchuje)

Szymon: (zrywa się i śpiewa)

Takoż dzisiaj o północy,
Gdym zasnął w ciężkiej niemocy,
Nie wiem, czy na jawie, czy mi się śniło,
Ze wedle mej budy s'once świeciło.

(patrzy przestraszony na niebo — zapala się ogień bengalski — Szymon śpiewa w dalszym ciągu:)

Weno, weno! S'once świeci!
Jakieś wojsko z nieba leci!
Zdaje mi się, że śpiewają;
Ogniem ziemię zapalają!

(klęka przestraszony i rozgląda się)

Chór Aniołów:

Gloria, gloria in excelsis Deo!

(Szymon i Michał śpiewają teraz w duecie:)

Szymon: (budząc Michała) Michale!

Michał: A cego?

Szymon: Gwałtu!

Michał: Co złego?

Szymon: Nie zleć to, tylko gdzieś wdzięcne głosy...

Michał: (zaspany i leżąc jeszcze) To wyskoc...

Szymon: (natarczywie) Ach, wierz mi, bo w ogniu są niebiosy!

Michał: Ogrzej sie...

Szymon: Żart na stronę...

Michał: (podnosząc się na rękę) Cy prawda?

Szymon: Widzisz łonę?

Michał: (podnosząc się do połowy) A to co? (wstaje)

Daj mi sukmanę; co w skok wstanę.

Niech oko zobaczy, co to znacy.

O nieścieśliwa takać godzina!

Smutnać to będzie jakaś nowina!

Szymon: Nu! Jenó wstań chyzo, nie bredź wiele;

Będies miał wnet smutek, wnet wesele!

Michał: A kędys ta łona,

Co sam o niej brydzisz?

Szymon: La-Boga, cyś ślepy, cy jesce nie widzisz?

Przetrzej jeno ocy, spojrzj w prawą stronę:

Nad samym Betlejem widać wielką łonę!

Michał: (przekonany) Oj prawdać. Juz widzę. Ale to nie żarty

Tyś mi prawdę mówił, ja byłem uparty!

Mój Szymku, mój śliczny; Cóż więc ucyniwa?

Ja myślę, najlepiej drugich pobudziwa.

Szymon: Pockaj jeno trochę, jesce nie to, brachu.

Moze nadaremno narobiłbyś strachu.

Sam sobie nie wierzę, moze mi sie marzy!

Trzeba by uważać, co sie to tu zdarzy!

Michał: Chyba zbudźmy Bartka... To człowiek piśmienny.

Jemu można ufać, bo jest dość sumienny.

Mozem go sie pytać, toć to nie zawadzi,

A po tym ucynić, jak on sam poradzi.

(budzą Bartosza, który gniewnie ich odgania)

Bartosz: (leżąc na murawie) Cóż mnie napadacie? Tak raniem rozruch czynicie? (ciągle zaspany) Wilk zakradł się czy inne lichó?

Tamci: Wstawaj, Bartoszu! Dziwy niesłychane! Całe niebo jaśnieje! Noc jeszcze a tu niby dnieje!

Bartosz: Czyby, czyby? (podnosi się powoli) A prawłem Michałowi, że mam jakoweś czucie przedsenne (ziewa)... A dyć prawda! Łona wielgaśna na niebie (rozgląda się).

Szymon: (śpiewa)

Miły Bartoszu, cóż na to mówicie?
Cóż to mamy cynić, jakże nam radzicie?
Juści wy sie lepiej pewno na tym znacie,
Bo umiecie cytać, stare lata macie.

Bartosz: (śpiewa)

Pockajcie no, bracia, az cłek pomiarkuje.
To światło jest z nieba co sie polyskuje.
To zaś ślicne wojsko co hań widać w bieli,
Jako sie domyślam, ze to są Janieli.
Uspokójcie no sie, moje mile dzieci!
Oto jeden z tamtych Anioł do nas leci!
Wszystcy na kolana razem pokłękajwa,
Cego od nas żada, dobrze uważajwa!

(klękają zwrócieni w stronę jasności — ukazuje się Anioł)

Anioł: (śpiewa)

Szczęśliwi ziemianie, nie trwoźcie się wiele!
Oto opowiadam wielkie wam wesele:
W mieście Dawidowym Chrystus się narodził,
Pan oraz Zbawiciel, by was wyswobodził.
Idźcie do Betlejem! Prędko pospieszajcie!
To Słowo wcielone wszyscy oglądajcie!
Znajdźcie Niemowlę nowonarodzone,
Powiće w pieluszki, w żłobie położone.

Chór Aniołów za sceną:

Chwała Bogu, cześć i dzięki niech będą na wysokości,
A zaś ludziom dobrej woli pokój na ziemskiej niskości.

(Anioł znika ze sceny — pasterze podnoszą się z kłęczek i rozradowani rozglądają się wokół)

Bartosz: (śpiewa)

Skoczmyż do Betlejem czymprędzej, pasterze!
Niechaj każdy co ma dla Dzieciątka bierze!
Bo to Dziecię w nędzy leży,
Bez posłania, bez odzieży,
Na ciężkim mrozie!

Michał: (śpiewa)

Ja Mu dam barana jeszcze tego rana;;
Dam Mu także gruszek i pięknych jabłuszek!

Szymon: (śpiewa)

A ja Mu dam zwierciadelko,
Będzie miał bawidelko,
Zeby nie płakał.

Bartosz: (śpiewa)

Ja na poduszczyce puchu odrobinę,
Z jagnięcia skóreczkę dam Mu na pierzynę.
By Mu leżeć było miękko;
Kolo Niego, słyszę, cienko!
Poratuję Go!

Michał: (mówi)

Nuże, bracia, zabierajmyż się w drogę, byśmy
do Betlejem na południe zdążyli. Wy, Bartoszu, dajcie
pacholetom przykazanie, by na chudobę tu baczili...

Bartosz: Mój drogi Michale, onęta tyż zekną biegać za nami

i nic je tu nie wstrzyma... Stado się samo ostanie
i Pan Bóg strzec je będzie od jakowejś złej przygody.
(śpiewają razem)

Po koledzie z tą kapelą do Betlejem idziemy,
Tego Boga wcielonego dziś oglądać będziemy!
O, jak wielkie nas pastuszków dziesiąt szczęście spotkało,
Gdy się nam wojsko niebieskie jawnie ożładać dało!
Gdy Gloria in excelsis śpiewali, śpiewali,
A nam biegać do Betlejem kazali, kazali!

(znikają za zasłoną — kurtyna opada)

Koniec oddziału drugiego.



Rapsodia

Bożenarodzeniowa

(tłum. z włoskiego)

Święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

Czterech, czterech Ewangelistów,
święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

Pięć, pięć Ran Zbawiciela,
czterech Ewangelistów,
święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

Sześć, sześć stągwi w Kanie,
pięć Ran Zbawiciela,
czterech Ewangelistów,
święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

Siedem, siedem Boleści Madonny,
sześć stągwi w Kanie,
pięć Ran Zbawiciela,
czterech Ewangelistów,
święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

Osiem, osiem Błogosławieństw,
siedem Boleści Madonny,
sześć stągwi w Kanie,
pięć Ran Zbawiciela,
czterech Ewangelistów,
święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

Dziewięć, dziewięć Chórów Anielskich,
osiem Błogosławieństw,
siedem Boleści Madonny,
sześć stągwi w Kanie,
pięć Ran Zbawiciela,
czterech Ewangelistów,
święci trzej Królowie,
osiołek i wół,
Dzieciątko w stajence,
co z nieba zeszło nam.

(Tak można śpiewać aż
do 25, a może i więcej...)

ORYGINALNA SZOPKA

Mieszkańcy nowej osady nowonawróconych
byli to ludzie prości, ale prawi i dobroduszeni.
Gorliwi. Odczuwali brak uroczystych nabożeństw,
o jakich słyszeli z Tungyuanfangu lub Ucuangfangu.
Toteż gdy z początkiem grudnia przybył do nich jezuita o. Panizza,
katechiści w imieniu całej osady poprosili go, by
„w wielkim stylu” odbyły się uroczystości Bożego Narodzenia.

— Tak jak w Tungyuanfangu. Ze złością i Sumą uroczystą. Osada pokryje wszystkie koszty.

Rozpoczęły się przygotowania. O. Panizza posłał do zakonnic w Tungyuanfangu z prośbą o statuetkę Dzieciątka. Zwrócił się do katechistów wielkich osad o przysłanie instrumentów muzycznych: piszczałek, fletów, bębna. Wystarał się o piękne szaty kościelne, świeczniki, kwiaty, kadzidło.

Przygotowano żłobek może nawet za wielki na kilka małych figur i nieduży kościół. Chłopcy nanieśli gałązek, trawy. Zawieszono płótno, by zakryć zawartość żłobka. Wymalowano księżyc i gwiazdy na błękitnym tle. Umieszczono figurki bydła, pasterzy, aniołków. Białą bawełną pokryto wzgórze scenariusza. Dla wzbogacenia go rozmieszczono nawet dawne kartki świąteczne. Misjonarz umieścił Madonnę i św. Józefa. Ale... Dzieciątka wciąż nie ma! Siostry z Tungyuanfangu odpowiedziały, że wszystkie figurki Dzieciątka, jakie miały, wysłały już innym misjonarzom, którzy wcześniej się zgłosili... O. Panizza wciąż jeszcze spodziewa się, że dostanie od któregoś z misjonarzy.

Nadchodzi dzień wigilijny. Misjonarz zajęty jest słuchaniem spowiedzi. A Dzieciątka wciąż nie ma.

Pod wieczór przybyła orkiestra z około 10 osób złożona. Przybyli też z sąsiedztwa do świadczeni dawni chrześcijanie, by dopomóc w śpiewach bożenarodzeniowych.

Dzieciątka wciąż nie ma!... Cóż ma uczynić misjonarz?... Idzie do swej izby i przynosi krucyfiks, kładzie na żłobku między Madonną a św. Józefem.

— Wytłumaczę im...
Msza św. śpiewana.
W kazaniu misjonarz mówi o misterium Wcielenia Syna Bożego, który przyszedł przynieść pokój ludziom na ziemi.

— Jak pasterze w ową Noc świętą spieszą do żłobka. Znajdźcie wszystko jak przed wiekami w Betlejem... z wyjątkiem Krucyfiksu, bo nie można było dostać statuetki Dzieciątka. Wyobraźcie sobie, że na miejscu krucyfiksu spoczywa Dziecię Jezus, żywe i prawdziwe, tak jak wasze dzieci. Przyjmiecie Je w Komunii św.

Po Komunii św. wierni śpiewają:

Przybywajcie,
Radośnie przybywajcie do Betlejem.

Przybywajcie i oglądajcie
Narodzonego Króla Aniołów.

Przybywajcie,
Adorujmy Pana.

Każdy przez chwilę zatrzymuje się przed żłobkiem i czci Tego, który przyszedł na ziemię, aby zawisnąć na Krzyżu i przez Mękę swoją i śmierć odkupić świat.

Adorujemy Cię, Chryste, i błogosławimy Tobie, żeś przez święty Krzyż Twój odkupił świat.

(według Amedeo Cracco, O.F.M., „Vita eroica”, Edizioni Paoline, Alba 1952)



PASTORAŁKI I KOLEĘDY

KS. MICHAŁA MARGINA MIODUSZEWSKIEGO (1767 — 1868)

Napisał JÓZEF EKKERT

Twórca wymienionego w tytule śpiewnika pieśni Bożenarodzeniowych urodził się w Warszawie u schyłku niepodległej Rzeczypospolitej polskiej. Jako 17-letni młodzieniec, wstąpił do zgromadzenia księży misjonarzy w Warszawie. Po sześcioletnich studiach teologicznych został wyswięcony na księdza w roku 1810. Już jako młody misjonarz odznaczał się żywą pisarską, wydając w roku 1815 „Początki starożytnej jeografii”, nakładem księży misjonarzy w Warszawie. Pisząc swoją wielką pracę myślał może o dalekich podróżach misyjnych, do jakich przynależność do zgromadzenia misjonarzy predestynowała. Stało się jednak inaczej. Oto w 1820 roku powołano księdza Mioduszeńskiego na odpowiedzialne stanowisko profesora seminarium teologicznego w Krakowie; powierzono mu katedrę prawa kanonicznego.

Praca pedagogiczna, do jakiej powołano ks. Mioduszeńskiego, związała go na stałe z Krakowem. Pozostał w tym mieście, przepelionym pamiętkami minionej świetności jakoko stolicy wielkiego państwa, do swego zgonu. Zainteresowania młodego profesora nie skupiały się wyłącznie na prawie kanonicznym. Jako miłośnik muzyki, zwłaszcza śpiewu kościelnego, sądził, że śpiew kościelny w czasie nabożeństw nie zawsze czynił zadość stawianym wymaganiom. Były to niewątpliwie skutki zaniedbań w tej dziedzinie wieku XVIII, traktującego sprawę śpiewu w ogóle, a w szczególności śpiewu kościelnego lekceważąco. Powszechne zainteresowanie śpiewem w okresie budzącego się romantyzmu w wieku XIX zwróciło szczególną uwagę na pieśń ludową. Zarówno poeci-romantycy, jak również miłośnicy pieśni ludowej, zwrócili uwagę na nią jako źródło natchnień poetyckich i muzycznych. Pod wpływem tych głosów poczęto gorączkowo zbierać pieśń ludową. Poglądy te znalazły również żywy odzwierciedlenie u ks. Mioduszeńskiego.

Zapewne dzięki staraniom podjętym przez siebie, biskup krakowski przeprowadzający w latach 1830 i 1831 wizytację pasterską swej diecezji zaprosił ks. Mioduszeńskiego do uczestniczenia w pracy wizytacyjnej na terenie diecezji krakowskiej. W czasie tej wizytacji zetknął się ks. Mioduszeński z ludem krakowskim, znanym ze swego żywego usposobienia i wesołości, miłośnikiem tańca, pod zwawy rytm krakowiaka. Ten nawiązany kontakt z ludem umocnił w nim upodobanie do pieśni ludowej, z której i pieśń nabożna często korzystała, podkładając teksty nabożne pod skoczny mazur lub posuwistygo, poważnego poloneza. Przebywając w ko-

ściołach szperał ks. Mioduszeński po strychach kościelnych i chórach, szukając pieśni i muzyki kościelnej. Poszukiwania uwieńczone zostały pomyslnym wynikiem, nie zawsze jednak zadowalający cierpliwego zbieracza. Okazało się bowiem, że bardzo często odnajdywał w rękopisach stare pastorałki i koleędy, ale jedynie ich teksty bez melodii. Temu faktowi daje wyraz autor „Pastorałek i koleęd”, pisząc w przedmowie do nich, że trudno natrafić na jakąś melodię zachowaną do dziś. W pracach poszukiwawczych docierał nawet do rękopisów pastorałek i koleęd pochodzących z 1695 roku, jak zaznaczono w wydaniu jego „Pastorałek”, które ukazały się w trzecim już wydaniu w roku 1871, a więc w trzy lata po jego zgonie. Prócz kościołów parafialnych poszukiwania swoje kierował do klasztorów. Zwłaszcza klasztor żeński miał bogate zbiory, szczególnie pieśni bożenarodzeniowej. Pragnąc dotrzeć do melodii, przysłuchiwał się wielu śpiewakom i śpiewaczkom ludowym, aby uzyskać upragnioną melodię z ust ludu, nie zapisaną niestety w nutach w licznie spotykanych rękopisach. „Śpiewnik” i „Pastorałki i koleędy”. Zgromadzenie materiału, jego układ i przygotowanie do druku zajęło autorowi sporo czasu; nie obeszło się przy tym bez kłopotów z cenzurą. W 1838 roku pojawił się w Krakowie jego „Śpiewnik kościelny” w dwu tomach. W ciągu kilku następnych lat pojawiają się Dodatki do „Śpiewnika” i Uzupelnienie do Dodatku III do „Śpiewnika”, pieśniami narodowymi. „Uzupelnienie” pojawiło się wydrukowane w Lipsku w 1854 roku. Względem cenzuralne nie pozwalały na wydanie tej książki na ziemiach polskich. „Śpiewnik” jest zaiste wydawnictwem pomnikowym; zawiera 417 pieśni nabożnych. Mszy, Litani, Nowenn i kilkadziesiąt pieśni cerkiewnych grecko-katolickiego obrządku.

Niemniej wielkim wydarzeniem wydawniczym okazało się wydanie „Pastorałek i koleęd” w 1843 roku. Szczególnie ulubioną pieśnią nabożną w Polsce jest koleęda. Pięć wydań „Pastorałek i koleęd” notuje „Bibliografia” K. Estreichera. Ostatnie ukazało się w 1890 r. u Pelara w Rzeszowie. Był to już czas, kiedy to wydawnictwo śpiewników kościelnych było sporo; niestety bardzo często bez melodii. Większa ilość wydań „Pastorałek” tłumaczy się popularnością tego rodzaju pieśni nabożnej w naszym społeczeństwie. Lud wiejski bardzo chętnie śpiewał pastorałki i koleędy, ponieważ ich tekst i melodia były tworem tegoż ludu. Tekst często w gwarze ludowej utrzymywany, prosta a

krzepka melodia, łatwo utrwały się w pamięci.

U kolebki pastorałki. Po wieku XVI włączając pieśń bożonarodzeniową, tłumaczona przeważnie z hymnów łacińskich lub koledż czeskich, odznaczała się powagą, mimo swego pogodnego tonu. Na przełomie wieku XVI i XVII twórczość pieśni bożonarodzeniowej uległa zmianie. Rozwijający się wówczas w Polsce barok, liczne rzesze rymotwórców tworzą sirofę poetyczną o różnorodnej formie i kunszcie. Wpływ stały Zachodu w dziedzinie pieśni kościelnej i teraz nie przestaje docierać do Polski. Wzory pastorałek francuskich, zwanych „noëls”, nie są obce naszym twórcom. Podkładanie pod pieśni pastusze w Francji tekstów pastorałkowych znajduje również i u nas oddźwięk. Bardzo często pastorałka nabożna we Francji zaczęła się od takich samych słów, jakie tworzyły początek pieśni pastuszej, z której melodię użyto do melodii koledżowej.

Takim samym szlakiem kroczy w Polsce twórca najpiękniejszej kantyczki siedemnastowiecznej, Jan Karol Dachnowski. Wydana w 1630 roku „Symfonia anielskie”, korzystając z melodii powszechnie znanych w Polsce pieśni ludowych. Tematyka 36 pastorałek w wydawnictwie Dachnowskiego była urozmaicona: adoracja pastuszków w stajence betlejemskiej — wraz ze składaniem darów Dzieciątku, hołd Trzech Króli, uczeka do Egiptu Sw. Rodziny. Pastorałki Dachnowskiego cechuje giętki wiersz i urozmaicona budowa zwrotki. Sceny betlejemskie pastuszków utrzymane w tonie głębokiej czci dla Dzieciątka. Z biegiem czasu wkraśli się do pastorałek ton rubasznym poufałości wobec świętej Rodziny. Synod biskupów w Gnieźnie zakazał śpiewania tego rodzaju pastorałek w kościołach, w 1602 roku.

Zakazana w kościele, przenosi się pastorałka do domów na wsi i w miastach. W związku z tym powstaje nowy rodzaj pastorałki, zwanej koledżnicą. Treść pastorałki koledżniczej, śpiewanej w terminie około Nowego Roku, to składanie życzeń gospodarzom, ich żonom, dzieciom i służbie. Na ręce gospodarza składano życzenia zdrowia i pomyślnego urodzaju ziół, pomyślnego hodowli żywego inwentarza itp. Służbie składano życzenia owocnej pracy i posłuszeństwa dla gospodarza. Wejście w szerokie sfery zwyczajnego chodzenia po koledżie, wyszło na dobre pastorałce; wieki miały a zwyczaj utrwalony tradycją trwa i istnieje, mimo wielu burz dziejowych, do dzisiaj. Pastorałka często w sposób naiwny maluje miłość do Dzieciątka Jezusowego i Matki Bożej, wyraża radość z powodu przyjścia na świat Zbawiciela rodzaju ludzkiego. Nowy temat dla pastorałek na przełomie XVI i XVII wieku dostarczył zwyczaj zastępowania żłóbka kołyską. W kołysce umieszczano najczęściej figurę Dzieciątka i kołysano nucąc przy tym pastorałkę-kołysankę owianą nutą liryzmu i ciepłego sentymentu dla Boskiej Dzieciny. Znaną kołysanką jest „Lulajże Jezuniu, moja perelko”, której melodię wplócił Chopin w swoje Scherzo H-moll. Zwyczaj kołyski ze szczególnym pietyzmem obchodzono w zakonie bernardynów, poza kościołem, w specjalnej na ten cel przeznaczony celi w pobliżu furty klasztornej.

Obfity plon swoich poszukiwań za pieśnią bożonarodzeniową umieścił ks. Mioduszewski w wydawnictwie: „Pastorałki i koledży”.

Śpiewnik ten wydany został w Krakowie w 1843 roku w drukarni Stanisława Gieszkowskiego. W pastorałkach polskich prócz rysów wskazanych powyżej odnajdujemy cechy związane z ostrością klimatu polskie-

go. Mróz panujący w stajence betlejemskiej wyciska pastuszkom serdeczne lzy współczucia nad marzącym Jezusem. Na szczęście czuła para wół i osioł w pozycji kłęczącej nachylone nad Jezusem ciepłym tchnieniem ogrzewają Dzieciątka. Pastuszkowie pamiętając w swych wspomnieniach o chwilach głodu, przypuszczają, że również Dziecina Jezus płacem zaznacza dokuczający Jej głód. Znow więc nowa pobudka w kłiwych pastuszych sercach wywołuje odruch obdarowania Jezusa kukiełką lub serem przyniesionym w darze świętej Rodziny. Odbicie tych uczuć odnajdujemy w pastorałce: „A cóż z tą Dzieciną będziemy czynili?” Śpiewnom pastuszków w stajence betlejemskiej towarzyszyła najczęściej kapela, przeplatając śpiewy odegraniem tej samej melodii na instrumentach.

Przykładem takiej pastorałki jest: „Hej nam, hej! Weselmy się, radujmy się”. W tej pastorałce, utrzymanej w gwarze, wszechwładnie panuje muzyka. Instrumentów co niemiara!

„Stach najpierwszy na swym rogu, Rozpoczął grać chwałę Bogu. Nuż w swe dudy Walek chudy, Wit w multanki, Jach w organki. Banach w parze na fujarze, Bartek z Senku na bebenku.”

W kapeli doliczyć się można nieprawdopodobną ilość kilkudziesięciu instrumentów. Zabrakło jednak:

„Arfy z sobą nie przynieśli, Naprawić ją dali cieśli.”

Oto przykład pastorałki, przy której pisaniu nie zabrakło zapewne jakiegoś utalentowanego kapelmistrza.

Działalność ks. Mioduszewskiego. Bilans działalności wydawniczej, poprzedzonej szczerym zbieraniem pieśni nabożnej z ust lu-

du i archiwów kościelnych i klasztornych, jest znakomity. Wydanie „Śpiewnika kościelnego” i „Pastorałek i koledż” ukazało się w roku 1838 i 1843 z melodiami i osobno bez melodii. Zbiór 447 pieśni, litanii, Mszy św., Nowenn, pieśni dla unitów grecko-katolickich i 153 pastorałek i koledż (włączając w to Dodatek do „Pastorałek i koledż”) zaspakajał potrzeby społeczeństwa przez wiele lat. Po zgonie ks. Mioduszewskiego w 1868 roku pojawiają się przez czas dłuższy wydania pamiątkowe. Jak wielką wagę miało — i wciąż jeszcze ma — wydawnictwo pieśni ks. Mioduszewskiego — zwłaszcza pastorałek — świadczyć może fakt, że we wzorowym „Śpiewniku” ks. Siedleckiego, wydanym w roku 1951, samych pastorałek i koledż wzięto z dzieł ks. Mioduszewskiego 37 na ich ogólną liczbę 59.*) Podobnie jest w przeważającej ilości wydawanych obecnie śpiewników kościelnych.

Świetne wyniki wydawnictw swoich zawdzięcza ks. Mioduszewski bez wątpienia działalności spisywania pieśni wraz z melodiami z ust ludu, na terenie diecezji biskupstwa krakowskiego. Ta część jego działalności wynosi go na stanowisko pioniera muzycznego folkloru kościelnego w Polsce i poprzednika na tym polu O. Kolberga, który zbierał w swoim „Ludzie” bardzo często cytował.

Zaiste! Wiekopomna jest zasługa działalności ks. Mioduszewskiego w historii pieśni kościelnej w Polsce.

Józef Ekkert

*) Por. ks. Jan Siedlecki, Tom I, Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn 1951.



BOŻE NARODZENIE
Z „Postylli” ks. Wujka (XVI w.)

ANIÓŁ PASTERZOM MÓWIŁ

A-niół pa-sterzom mó-wił, Chylnus się wam na - ra - dził w Be-tle-jem nie bar-dzo po-
dłem-mie-sie , na-ra-dził się w u - bó-świe Pan w-se-go swo-ższ-nia.

JERZY ZUBRZYCKI

(Australian National University, Canberra)

DRUGIE POKOLENIE EMIGRANTÓW

Zwracamy szczególną uwagę na doniosłość problemu, poruszonego w tym artykule przez młodego naukowca polskiego, który pracuje na centralnym uniwersytecie australijskim, prowadzącym badania naukowe i studia specjalne. Dr Jerzy Zubrzycki, jeden z założycieli P.K.S.U. „Veritas”, studiował po wojnie socjologię na London School of Economics i uzyskał doktorat za wyróżnioną i potem ogłoszoną drukiem pracę pt. „Polish Immigrants in Britain”. Od kilku lat bada w Australii zagadnienia dotyczące socjologii uchodźstwa. (RED.)

Jedną z bolączek naszego życia społecznego tak w Kraju jak i na emigracji jest brak przewidywania i planowania na przyszłość. Kiedy pół miliona Polaków zostało na emigracji w roku 1945, planowanie na przyszłość na szczeblu szczytowych instytucji rządowych w Londynie, oraz organizacji społecznych w Wielkiej Brytanii i na innych terenach rozmieszczenia uchodźstwa wojennego, sreszczało się do nie zawsze udanej próby zorganizowania oparcia materialnego dla poszczególnych jednostek i grup. Nie myślano o zainwestowaniu sporych wówczas funduszy publicznych w szkołach, ośrodkach wydawniczych, placówkach opieki społecznej. Fundusze takie szły na subsydiowanie urzędów, które zapewniając fikcyjną ciągłość instytucjom administracji państwowej nie stwarzały organicznych zębów dla wielkich mas emigracyjnych.

A przez cały ten czas rodziły się i podrestowały wśród nas coraz liczniejsze rzesze drugiego pokolenia emigracyjnego. W pierwszych latach dzieciństwa szło to jakoś łatwo. Basie, Marysie Jacki i Jurki chowali się u boku rodziców, ciotek i babci, szczebiotali po polsku i byli r. dościami ciężko pracujących rodziców. Ale ta harmonia życia rodzinnego opartego na nieprzerwanej tradycji wielu pokoleń, skończyła się z chwilą, kiedy dzieci przeszły do szkoły. Atrakcja szkoły, nowych towarzyszy zabaw i rozrywek szybko zaczęła zmieniać naszą „rdzenną polską” Marysię i Basię w Mary i Barbarę a Jacka zniekształciła w jakiegoś Jack lub Jackie (bo komuż by się chciało szukać odpowiednika angielskiego: Hyacynth). Zaczęto więc bić na alarm o grożącym dzieciom wynarodowieniu i wtedy dopiero na gwałt organizowano zaimprovizowaną naukę przedmiotów ojczystych.

Dzisiaj okres improwizacji już po większej części przeminął i do większości ośrodków polskiego wychodźstwa wojennego docierają wydawnictwa Macierzy Szkolnej; wszędzie rozpracowano ramowy program nauczania dostosowany do miejscowych warunków, zasadniczych różnic między językiem polskim, a językiem kraju osiedlenia, itd. Zdawało by się więc, że po całym szeregu zaniedbań i opóźnień społeczeństwo polskie ocknęło się i zajęło poważnie wychowaniem dzieci w duchu ojczystym. Dotyczy to na razie dzieci do lat 12-tu, a tymczasem najniebezpieczniejszym okresem jest właśnie wiek od 12 do 16 lat, w którym dziecko traci kontakt z rodzicami szukając sobie przyjaciół — doradców z zewnątrz.

Zarysowuje się więc przed nami nowe zadanie, związane z dalszą fazą wychowania naszych dzieci — nieporównanie trudniejszą od poprzedniej, a mianowicie okresem przejściowym. Zadanie to stanie przed nami w

roku 1960, w chwili kiedy dzieci urodzone już na emigracji zaczną dorastać. Powinniśmy o tym pamiętać, abyśmy nie zostali tym faktem zaskoczeni tak, jak byliśmy zaskoczeni w roku 1950 ilością dzieci w wieku szkolnym.

SOCJOLOGIA WYCHOWANIA LAT 1960-TYCH

Kilka lat temu ukazała się książka znakomitego ekonomisty australijskiego, a obecnie profesora w Oksfordzie, gorącego katolika, Colin Clark'a pt. „Economics of 1960's” — „Ekonomia lat tysiąc dziewięćset sześćdziesiątych”. Dzieło to traktuje nie tylko o problemach gospodarczych przyszłego dziesiątka lat, ale wprowadza szereg nowych pojęć teoretycznych, dostosowanych do analizy gospodarczej na kanwie wizji przyszłości. Parafrazując ten tytuł książki moglibyśmy posłużyć się zwrotem „Socjologia wychowania w latach sześćdziesiątych”, aby w ten sposób podkreślić nie tylko nowość, odmienność problemów wychowawczych w niedalekiej przyszłości, ale i konieczność odmiennego sposobu podejścia do ich zrozumienia i rozwiązania.

Jeśli zastосуemy to pojęcie do naszego emigracyjnego podwórka, to wówczas wyodrębnić będzie można dwie płaszczyzny wychowawcze. Jedną z nich to zagadnienie dalszej nauki, przedmiotów ojczystych, dostosowanej do nowych, coraz szerszych, horyzontów myślowych dorastającego młodzieńca lub panienki. Jest rzeczą oczywistą chyba, że „nauka polska” nie powinna kończyć się na sobotniej szkółce i akademii 3-go maja. Jeżeli bowiem wychowanie ojczyste ma się zamykać w ramach lat 5 do 12, to — jak to słusznie pisze autorka artykułu w „Czynie Katolickim” (styczeń 1957) — „będziemy mieli w rezultacie nie tylko pół-Polaków, ale jakichś ćwierć-ludzi”. Nie zamierzam jednakowoż dyskutować tego zagadnienia w szczyplych ramach artykułu. Pozostawiam je zawodowym nauczycielom i ofiarom pracownikom Macierzy Szkolnej w nadziei, że potrafią oni opracować elastyczny i atrakcyjny program emigracyjnego gimnazjum.

Przechodzę teraz do drugiej płaszczyzny socjologii wychowania, nad którą zatrzymam się dłużej. Rozmyślnie i celowo posługuję się terminem **socjologia** wychowania, albowiem za gadnienia związane z problemami, które mam zamiar poruszyć, posiadają ściśle określone socjologiczne wymiary i następstwa. Do nich należy tu przede wszystkim stosunek dziecka do rodziców, zagadnienie konfliktu dwóch pokoleń, różnice w szybkości procesów asymilacyjnych.

Dziecko, które wchodzi w przejściowy okres dorastania, zaczyna, jak to już powiedziałem, odwracać się od rodziców i szukać oparcia i przyjaźni wśród rówieśników i poza domem. Ten nieunikniony proces szukania oparcia poza domem jest spotęgowany w warunkach emigracyjnych, w których łączy się on z procesem konfrontacji, przeciwstawienia, porównania przez dziecko norm postępowania, obyczajów i sankcji moralnych wpojonych w domu rodzicielskim z wartościami kulturowymi społeczeństwa miejscowego. Im większa różnica między wartościami kulturowymi grupy emigrantów a społeczeństwa tubylczego — tym gwałtowniejsza reakcja u dziecka. Jakież są przejawy tego konfliktu między pierwszym a drugim pokoleniem emigrantów? Wyliczyć tylko dwa pokrewne przejawy: demoralizacja obyczajowa i przestępczość wśród młodocianych.

Literatura socjologiczna obfituje w liczne monografie poświęcone zagadnieniom demoralizacji i przestępczości. Nasz wielki rodak, prof. Florian Znaniecki wspólnie z Williamem I. Thomas'em zwrócił uwagę na to zagadnienie zaraz po pierwszej wojnie światowej w monumentalnym dziele „Polish Peasant in Europe and America”. W książce tej znajdujemy analizę procesów destrukcyjnych, którym podlega nowe pokolenie chłopów polskich, zrodzone lub wychowane na ziemi amerykańskiej. Badania archiwów instytucji opieki społecznej, przychodni lekarskich, sądów dla nieletnich — dają zastraszający obraz spustoszenia, jakie wśród młodzieży czynią alkoholizm, prostytucja i choroby weneryczne. Rzecz niemiarna, że procesom tym nie podlega pierwsze pokolenie emigrantów. Chłop polski, przeniesiony z zaciśniętej polskiej do zgęśnionej metropolii amerykańskiej, trzyma się świetnie. Zasady obyczajowe wpojone w dzieciństwie wytrzymują ciężką próbę, jaką jest zapuszczanie korzeni na nowej, jakże odmiennej, glebie. Dużą rolę odgrywa tu ciągłość wspólnoty sąsiedzkiej, przeniesionej na teren amerykański. Przeniesienie krzyża wioskowego i dzwonów z kościoła parafialnego z zapadłej wsi śląskiej do Teksasu przez ks. Leopolda Moczogę było lat temu jest symbolem tej właśnie ciągłości wartości kulturalnych. Nie łatwo jednak przenosić tę ciągłość na nowo w pokolenie, szczególnie wtedy, jeśli wyrasta ono w otoczeniu, które najczęściej z racji wyższego poziomu życia, staje się bardziej atrakcyjne. Ważniejsze wtedy są słowa reprezentantów tej nowej, bardziej atrakcyjnej cywilizacji, aniżeli matczyne czy ojcowskie przykazania.

PRZESTĘPCZOŚĆ WŚRÓD NIELETNICH

Statystyki przestępczości w krajach masowej emigracji podkreślają różnicę w stopie przestępczości między pierwszym a drugim pokoleniem emigrantów. Porównanie wypadła zdecydowanie na korzyść pierwszego pokolenia. Jest rzeczą również zniemianną, że przestępczość wśród pierwszego pokolenia imigrantów jest na wszystkich terenach niższa, aniżeli wśród ludności miejscowej. Na przykład w Australii wskaźnik przestępczości wśród Włochów w roku 1955 wynosił 2,6 (to jest 26 przestępstw ukaranych w sądzie na 10,000 ludności) w porównaniu ze wskaźnikiem dla całej Australii, jaki wynosił 12,5. Nie opublikowano jeszcze oficjalnych danych dotyczących przestępczości wśród młodocianych emigrantów w Australii, ale dane amerykańskie z roku 1934 dla Nowego Yorku oraz Detroit podają, że proporcja dzieci imigrantów wśród wszystkich skazanych w sądach młodocianych dochodziła do 65 procent.

Jak już zaznaczyłem wyżej, rozpiętość między wartościami kulturowymi grupy imigrantów i społeczeństwa tubylczego jest związana w stosunku wprost proporcjonalnym z występowaniem takich przejawów jak demoralizacja i przestępczość. Toteż, w wypadku naszej emigracji, mniejsze jest niebezpieczeństwo przestępczości u dzieci osadników polskich w Paranie, aniżeli wśród drugiego pokolenia emigrantów, które wychowuje się na przedmieściach Londynu, Lille, Düsseldorfu czy też Melbourne. W pierwszym wypadku dzieci wyrastają w warunkach, w których wartości kulturowe ich rodziców oraz podłoże cywilizacji materialnej środowiska polskiego nie są zbyt różne od środowiska brazylijskie-

go — często nawet równie atrakcyjne. Natomiast cywilizacja wielkich metropolii, w których osiedla się większość naszej emigracji, nie sprzyja zamkniętemu życiu rodzinnemu. W tych warunkach konflikt między pierwszym i drugim pokoleniem może być bardzo prawdopodobny.

ŚRODKI ZARADCZE

Jakież są środki zaradcze? Po pierwsze to jedność rodziny i harmonia życia rodzinnego. To chyba truizm jeśli powiem, że dzieci rodzin, w których kwitnie życie rodzinne a rodzina stanowi całość, nie popełniają przestępstw, nie będą wykolejeńcami. Z tym łączy się konieczność tego, co nazwałbym wyjściem naprzeciw dziecku. Jest rzeczą rodziców, aby usiłowali nagłać, choć częściowo, swój „dorosły” punkt widzenia do zainteresowań dziecka. Trzeba zrobić wszystko, aby dom był naprawdę bardziej nieraz atrakcyjny, aniżeli ulica czy kino. A więc trzeba tak planować zabawy, wycieczki, sporty, rozrywki: umysłowe, lekturę (niekoniecznie w tym porządku), aby dziecko do domu zawsze lgnęło.*) Szczególnie też jest ważny moment uświadomienia seksualnego w sposób taktowny i to możliwe wcześniej, aniżeli zrob. to ulica, czy niepożądane towarzystwo. Rozmowy na ten temat chłopca z ojcem nie mogą mieć charakteru jednostronnego wykładu, ale mają to być rozmowy z przyjaciąłem, któremu się w pełni ufa. A wreszcie — rzecz też oczywista, ale jakże często nie przestrzegana u Polaków-katolików — to wspólne z dziećmi odmawianie paciera od najmłodszych lat, przystępowanie do Sakramentów świętych, regularne chodzenie do kościoła nie tylko na Boże Narodzenie lub Wielkanoc i 3-ci Maja.

Druga grupa środków zaradczych — podobnie jak pierwsza — opiera się na założeniach socjologicznych. Jeśli bowiem do tej pory mówiliśmy o konieczności utrzymania jedności rodziny jako podstawowej komórki społecznej w jej roli wychowawczej w okresie przejściowym dziecka, to teraz zajmijmy się zagadnieniem utrzymania polskości, obrony przed wynarodowieniem. W jednym i drugim wypadku założenie jest podobne. Możemy je sformułować posługując się słowami Simone Weil cytowanymi przez p. Gieratowę we wspomnianym artykule: „ukorzenie jest najistotniejszą choć najmniej uznawaną potrzebą duszy ludzkiej”. Słowo „ukorzenie” — niezbyt może szczęśliwe tłumaczenie z francuskiego „enracinement” — oznacza zapuszczenie korzeni, organiczne związanie się jednostki z pniem, z którego wyrastają wszystkie grupy społeczne, począwszy od rodziny a skończywszy na narodzie.

Nie mam tu zamiaru staczać walki z tymi spośród naszych działaczy społecznych, którzy tracą energię na walkę z asymilacją naszych dzieci. Asymilacja — przez co rozumiam stopniowe przyswajanie sobie mowy i obyczajów kraju zamieszkania — jest procesem nieuniknionym szczególnie wśród pokolenia, które chodzi do obcych szkół, dorasta i wchodzi w życie zawodowe, społeczne i polityczne kraju osiedlenia. Natomiast wynarodowienie — jeśli idzie w parze z asymilacją — jest synonimem zatracenia więzów organicznych z grupą społeczną i tradycją, na której musi opierać się zorganizowane życie ludzkie. Jednostka wynarodowiona — to nie

*) O tych problemach wychowawczych pisze — w doskonałym artykule p. Ewa Gieratowa w „Kulturze” z kwietnia 1957. Artykuł ten winien być czytany przez wszystkich, którzy mają do czynienia z problemami dzieci na emigracji, rodziców, nauczycieli, działaczy społecznych.

tylko strata dla jej grupy macierzystej, strata ilościowa i jakościowa, ale nade wszystko — to człowiek o niepełnej osobowości. Cytowana już Simone Weil, wielka pisarka francuska i choć nie ochrzczona Żydówka, bardziej zbliżona do katolicyzmu, aniżeli wielu katolików z metryki, tak pisze w swej książce (cytuje z tłumaczenia angielskiego p.t. „The Need for Roots”):

„Człowiek posiada korzenie z racji swego czynnego i naturalnego udziału w życiu społeczności, która jedynie zdolna jest do przechowania w stanie żywym niektórych szczególnych skarbów przeszłości i niektórych szczególnych nadziei związanych z przyszłością, gdyż odbywa się ono poprzez miejsca i okoliczności urodzenia, zawodu i otoczenie społeczne. Każdemu człowiekowi potrzeba wielorakich korzeni”.

Aby umożliwić jednostce pełne życie, konieczne jest zapuszczenie korzeni w społeczeństwie, którego jest się członkiem z racji wykonywania danego zawodu czy funkcji, jak również w grupie etnicznej, której tradycje wychowawcze, życie duchowe i intelektualne stanowią urodzajną glebę dla wytworzenia potrzebnych dla egzystencji pożywków: wartości kulturowych.

Walka z wynarodowieniem dorastającej młodzieży powinna być więc prowadzona nie w imię patriotycznych hasel walki o niepodległość ale w imię obrony człowieka, utrzymania pełni jego osobowości. Mam nadzieję, że słowa moje będą właściwie zrozumiane przez każdego kto zna zasady etyki katolickiej. Nie chcę być posądzony o brak patriotyzmu — chodzi mi tylko o uszeregowanie tych zagadnień we właściwym porządku. Albowiem hasło „walka o niepodległość” to sformułowanie bardzo górnolotne i dla naszych dzieci chyba w pełni niezrozumiałe. Pamiętajmy o tym, że praca dla Polski możliwa jest tylko wtedy, jeśli prowadzona jest przez pełnowartościowych ludzi. Nie pomagamy sprawie polskiej — jeśli już musimy tymi kategoriami rozumować — przez jałową walkę z asymilacją. Natomiast wkład nasz — pierwszego pokolenia emigracji — będzie naprawdę poważny jeśli — tu posłużę się słowami p. Gieratowej — „bezdramatycznie uświadomienie młodych w tyśiącleciu polskości i w miejscowej glebie”.

A o tym, że konieczność utrzymania narodowych wartości kulturowych w drugim pokoleniu emigrantów jest *conditio sine qua non* pomyslniejszej asymilacji — świadczą głosy obcych, świadczą też doświadczenia niżej podpisanego na terenie Australii. Wybitny socjolog amerykański, Kanadyjczyk z pochodzenia, Robert Maciver tak pisze o „kra-

cowości (marginal state) drugiego pokolenia imigrantów — w swoim dziele p.t. „Society” (New York 1937, str. 109):

„...trudności stanu przejściowego ... w którym młodsze pokolenie obserwuje jak bardzo odmienne są obyczaje ich rodziców w porównaniu ze społecznością do której stopniowo oni sami wchodzą przez szkołę, pracę i rozrywki ... (Taka konfrontacja) prowadzi często do buntu przeciwko tradycjom rodzinnym i odrzucania kontroli społecznych pierwszego pokolenia zanim jeszcze to nowe pokolenie przyswoiło sobie należyta dyscyplinę postępowania poprzez doświadczenie. W wyniku tego stanu rzeczy następuje anarchia obyczajowa, której skutki widzimy w rozmiarach przestępczości wśród członków tego pokolenia. Wydaje mi się, że zbyt duży nacisk na „amerykanizację” dzieci imigrantów zaostrzy to zagadnienie.”

Podobnie stawia sprawę Episkopat katolicki Australii w dorocznym „Oświadczeniu w sprawie sprawiedliwości społecznej” (Social Justice Statement) za rok 1957. W oświadczeniu tym poświęconym całkowicie zagadnieniu imigracji do Australii biskupi przestrzegają czynniki rządowe i niektóre koła opinii publicznej przed „zbyt dużym naciskiem na przyspieszenie procesów asymilacyjnych”. Zdaniem biskupów procesy te raczej należałoby zahamować u dzieci, które nie powinny zapominać języka macierzystego ani obyczajów ich przodków. Jeśli o tym nie będzie się pamiętać, to dojdzie do rozbitcia rodzin imigrantów i wzrosnie niebezpieczeństwo anarchii obyczajowej.

Od półtora roku mówię na te tematy w rozmaitych środowiskach na terenie Australii; oraz pisałem o tym w prasie. Muszę przyznać, że argumentacja naukowa trafia do przekonania moich słuchaczy, którzy chcieliby uchronić Australię od powtórzenia przykrych doświadczeń Stanów Zjednoczonych A. P. sprzed pół wieku.

Kończąc te rozważania nieśmiałą uwagą i prośbą. Chciałbym bardzo, aby to co piszę dotarło „pod strzechy”, aby przedrukowane zostało przez pisma polskie w Kraju i na emigracji, aby stało się przedmiotem dyskusji wśród rodziców, wychowawców i działaczy społecznych.

To nie megalomania z mojej strony, ale szczerze przekonanie oparte na dziesięcioletnich badaniach socjologicznych mniejszości narodowych. Każdy z nas bowiem, żonaty, bezdzietny czy samotny — odpowiedzialny jest w równej mierze za zdrowie moralne i psychiczne drugiego pokolenia naszej emigracji.

Jerzy Zubrzycki

ORYGINALNA PRACA NAUKOWA POLSKIEGO UCZONEGO
JERZY ZUBRZYCKI
POLISH IMMIGRANTS IN BRITAIN
 A STUDY OF ADJUSTMENT

Z PRZEDMOWĄ PROF. RENÉ CLÉMENS
 I PROF. FLORIANA ZNANIECKIEGO
 Str. 220. Cena w oprawie płóc. szyl. 23.

Na zamówienie wysyła:
 KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS
 12, Praed Mews, London, W. 2, England

PAPIEŻ PIUS XI



Pius XI w towarzystwie kardynała Pacelli'ego, obecnego Ojca Świętego

Trzydziestego pierwszego maja minęło 100 lat od dnia, w którym urodził się Achilles Ratti, w roku 1922 obrany papieżem pod imieniem Piusa XI. Z wyjątkiem błog. Innocentego XI żaden z papieży nie zrośl się tak bardzo z naszymi dziejami jak Pius XI. Sam nazywał się „polskim biskupem”, gdyż sakrę z tytułem arcybiskupa Lepanto otrzymał w warszawskiej katedrze św. Jana z rąk kardynała Al. Kakowskiego, a Polacy i nie tylko Polacy, nazywali go „polskim papieżem”.

W czasie ostatniej, czy przedostatniej audencji kardynała Hlonda, papież Pius XI wspominał Polskę, mówiąc: „Czarne chmury gromadzą się nad światem. Świat czeka katastrofa. Ciężkie i gorzkie są ostatnie chwile starego papieża. Ale w tej ciemności oczy moje widzą światło: jest nim Polska ze swoim odradzającym się ruchem katolickim. Z swoją serdecznością i żarliwą wiarą. Ta wiara stanowi jej siłę i pozostanie jej siłą na ciężkie czasy.” — Prorocze to były słowa.

Mówią rzymianie, że „z wszystkich ludzi najbardziej umiera papież”. To znaczy — nikt tak szybko i tak ze szczerem nie ginie w niepamięci, jak zmarły papież w wydarzeniach następnego pontyfikatu. (Tak się np. stało z Benedyktem XV, lecz przyjdzie czas, gdy ten wielki, a najbardziej „umarty” papież, otrzyma należne sobie miejsce w historii Kościoła.) Jeśli to powiedzenie zawiera prawdę — Pius XI stanowi wyjątek: ani druga wojna światowa, ani trudny czas powojenny nie zdołały pogrzyźć go w zapomnienie. Żyje on nie tylko w Kościele, ale i poza jego szeregami, żyje w pamięci wielu ludzi jako bojownik w walce o zagrożone wolności człowieka; wolność wyznawania religii i życia według jej zasad, wolność obrony przed błędami złudnych filozofii, wolność osoby ludzkiej przed tyranią państwa i tyranią fałszywych doktryn antropologicznych, nacjonalistycznych, faszystowskich, marksistowskich.

Stara przepowiednia, ujmująca w krótkie charakterystyki poszczególne pontyfikaty po-

cząwszy od XV wieku, wskazywała na niego jako na „Fides Intrepida” — Nieustraszoną Wiarę. I Pius XI, największy papież, jaki od końca XVI wieku zasiadał na tronie św. Piotra, przy swoich wielkich zaletach umysłu i charakteru, był przede wszystkim papieżem nieustraszonej wiary. Na chrzcie otrzymał imiona Ambroży Damian Achilles. — Ambroży to wielki Doktor zachodniego Kościoła, niezłomny biskup Mediolanu w czasach kończącej się już starożytności chrześcijańskiej, ojciec i obrońca swego ludu przed uroszczeniami władzy świeckiej. Św. Damian, biskup Pawii z VIII wieku, był obrońcą katolickiej prawowierności. Św. Achilles natomiast był to żołnierz, rzymski legionista, który nie chciał się wyprzeć swej wiary i poniósł śmierć męczeńską. Każdy z tych Patronów użył swoich cech przysługiemu Biskupowi Rzymu — Ambroży pracowitości bez miary i mężnej a rozropnej nieugiętości oraz odwagi samodzielnego gestu; Damian rozpoznawania fałszu i zła, choćby najpiękniej przybranego i chcącego uchodzić za prawdę i dobro. Lecz posiada znaczenie symbolu, że przylgnęło doń tylko jedno imię, imię męczennika, to znaczy bohaterskiego świadka wiary. Jego też pontyfikat był wydawaniem nieustraszonego świadectwa wierze; i konsekwencjom, które z wiary wynikają.

Ambroży Damian Achilles Ratti urodził się w Desio, na północ od Monzy, przy drodze do Como, które wydało innego niezłomnego sternika Kościoła — błog. Innocentego XI. Ziemia to lombardzka, bogata, ludna, urodzajna, a każdy jej kawałek uszlachetniony jest trudem ludzkiej pracy. Zamieszkuje ją najtwardsza włoska rasa ludzi pracowitych i konkretnych, sumiennych, słownych, poważnych. Brak im może uroku i fantazji cechujących mieszkańców Półwyspu od Rzymu na południe. Ale są za to panami swoich słów, uczuć i czynów.

Dzieciństwo i młodość upłynęły mu w okolicach, wśród których rozgrywa się akcja „Narzeczonych” przesławnej powieści Manzo-

nego. Achilles Ratti uważał jej autora za największego z katolickich twórców powieściowych. Tak żył się z jej bohaterami i atmosferą, że gdy był już papieżem, niejedną audyencję przedłużył poza wyznaczony czas. Jeśli osoba, która wiedziała o jego upodobaniu, skierowała rozmowę na Manzonięgo.

Jest to zapewne jedyna w literaturze powieści historyczna, w której historia jest salwowana i wierna, bo ani upiększona ani uczerniona, lecz po prostu taka, jaką jest historia, to znaczy straszna i straszliwa; a sztuka, wysoka sztuka — uratowana. Zbrodnia jest zbrodnią i krzywdą, a grzech grzechem. Grzech jest rzeczywistością, lecz rzeczywistością jest sumienie, jest kara, jest poprawa, nadzieja, sprawiedliwość i świętość. Lecz rzeczywistością jest też czyste ludzkie serce ludzi przeciętnych, miłość i prawo do życia na miarę własnych, uczciwych wyobrażeń o życiu. Manzoni też dostąpił zaszczytu raczej wyjątkowego dla nowożytnego autora, że był cytowany raz czy dwa razy w encyklikach Piusa XI, wielkiego bojownika o prawo prostego człowieka do życia w swobodzie, dobrobycie i zadowoleniu. Może nawet z myślą o bohaterze „Narzeczonych” pisał Pius XI w głosnej encyklice „O bezbożnym komunizmie” („Divini Redemptoris”) te słowa: „Nieugaszone dążenie do osiagnięcia odpowiedniego stanu szczęścia już nawet tu na ziemi zasiane jest w sercu człowieka przez Stwórcę wszystkich rzeczy”.

Człowiekiem lombardzkiej ziemi był Ratti od swej wczesnej młodości — opanowanym, ale o wielkim ładunku serca, konkretnym i pracowitym. Obrawszy stan duchowny już jako kleryk do tego stopnia zwracał uwagę spokojem i dojrzałością sądu, że ówczesny arcybiskup Mediolanu, kardynał Nazario di Calabiona nazywał go swoim „młodszym starszakiem”: „Il nostro giovane vecchio”. Ceniąc wysoko jego zdolności umysłowe i charakter, wysłał go na studia do Rzymu, które ks. Ratti ukończył jak najchlubniej po trzech latach trzema doktoratami: w roku 1882 w czerwcu, w obrębie dwóch tygodni, złożył doktorat z prawa na Gregorianum i doktorat z filozofii na świeżo założonym Angelicum; a w pół roku później doktorat z teologii w Sapienzy. Jego też i późniejszego arcybiskupa Palermo, kardynała Lualdi, przedstawiono Leonowi XIII jako najodolniejszych. W czasie udzielonego posłuchania Leon XIII wywarł niezapomniane wrażenie na przyszłym Piusie XI przemówieniem, w którym wskazywał na zasadnicze znaczenie dla chrześcijaństwa prawdziwej i zdrowej filozofii. A trzeba tu dodać, że są to czasy jeszcze przed powstaniem wielkiego ruchu neoscholastycznego i neotomistycznego.

Po powrocie do Mediolanu ks. Ratti był jeszcze kilka lat profesorem w seminarium duchownym, a następnie został powołany do tzw. kolegium doktorów sławnej biblioteki ambrozjańskiej. W roku 1907 otrzymał nominację na jej prefekta i godność tę sprawował przez siedem lat, z czego trzy lata łącznie z wiceprefekturą biblioteki watykańskiej, której prefektem został mianowany w roku 1914. Zasłynął jako wybitny organizator biblioteczny i znakomity uczonec, zwłaszcza historyk kościelnych spraw mediolańskich. Odbił liczne podróże naukowe do sławnych bibliotek zagranicznych, np. do Wiednia, Bielejany w Oksfordzie, British Museum w Londynie. Pozostawał w kontakcie z największymi uczonymi epoki i z licznymi świętymi, żeby tylko wymienić takich jak Jan Bosco, Franciszka Cabrini, Contardo Ferrini, Pius X i inni. Zdobył też sławę jako jeden z

największych alpinistów swego czasu, budząc pozawytrzymałość i niepospolitą odwagę.

Alpinista, organizator, uczonec, autor cennych studiów i rozpraw, rozniowany był w pracy duszpasterskiej i opiece nad duszami, której w różnej formie oddawał się z gorliwością przez więcej niż 30 lat. Tego roku w maju msgr Carlo Gonfalonieri ogłosił książkę, która rzuca wiele światła, nie raz całkiem niespodziewanego na tę stronę działalności Rattiego jak też na jego życie duchowe i naukowe. Monsignore Gonfalonieri jako prywatny sekretarz papieża obcował z nim bardzo blisko i książką swoją wystawia mu świadectwo wielkiej świętobliwości, nie kryjąc nadziei, że pisze o przyszłym świętym, i że swoją książkę traktuje jako nagromadzenie materiału dla przyszłego procesu beatyfikacyjnego.

Liczne zalety ks. Rattiego zwróciły uwagę Benedykta XV, którego się stał przyjacielem. Po pierwszej wojnie światowej Benedykt XV wysłał go do naszego kraju najpierw jako delegata apostolskiego, a potem mianował go pierwszym nuncjuszem odrodzonej Polski z władzą na państwa bałtyckie i cały obszar Rosji.

Ten rozdział — i to wielki rozdział — z życia wielkiego papieża wymagałby osobnego omówienia. Tutaj możemy tylko wspomnieć, że pomimo wspaniałej i wszechstronnej działalności spotykał go w Polsce niesławne osądzenia i krzywdzące napaści, gdy arcybiskup Wrocławia, kardynał Bertram, niemiecki patriota, wydał znane zarządzenie dotyczące plebiscytu na Śląsku, zakazujące mówienia o tej sprawie księżom. Ponieważ na Śląsku wikariuszami byli Polacy, a proboszczami Niemcy lub narodowi odstępcy, niemiecka propaganda nacjonalistyczna pomimo wszystko nadużywała ambon, a polscy księża mieli związane usta. To zarządzenie zostało tak sprytnie ogłoszone i w takiej okolicznościach, aby wyglądało na akcję uzgodzoną z Rattim, gdy w rzeczywistości tak nie było. Ale o tym nie wiedziała polska opinia i Ratti był w najdzikszy sposób atakowany publicznie w prasie, parlamencie, na zebraniach politycznych, w ulotkach, nawet na słupach reklamowych; i nawet dwu już nie żyjących polskich hierarchów, bardzo kochanych i szanowanych przez polskie społeczeństwo, dano się użyć do wystąpienia w sekretariacie stanu, gdzie domagali się natychmiastowego odwołania nuncjusza z Warszawy, gdy ten zobowiązany wymogami swej funkcji nie mógł przeczyć ani słowa powiedzieć we własnej obronie i obronie prawdy. Wtem od osób, które wtedy się z nim stykały, że cierpiał niewymownie, lecz wśród tych niegodnych ataków zachował męski spokój, chociaż postawą swoją bynajmniej nie krył bólu i nie zasłaniał faktu, jak głęboko znieważa się jego cześć osobistą i godność przedstawiciela Stolicy Świętej. Nawijając do kroku niemieckiego hierarchy, powiedział do mego znajomego, który wtedy stał niezmiernie blisko Rattiego: „Inimicus fecit mihi” — „nieprzyjacieli mojemu uczynił”.

Ale nawet doznane krzywdy nie zmieniły jego miłości dla naszego narodu i do nowej diecezji, to jest Śląskiej, którą uformował, choć tak wiele z powodu Śląska przyszło mu wycierpieć.

Papież aprobował wszystkie jego poczynania w naszym kraju i 30 marca 1921 roku mianował go arcybiskupem Mediolanu, wzywając do opuszczenia Warszawy. Arcybiskup Ratti chciał opuścić Warszawę 19 maja — dokładnie w trzy lata od dnia, w którym wyjechał z Rzymu do Polski, lecz został wzywany powtórnie, aby przyspieszył wyjazd.

Otrzyma bowiem kapelusze kardynalski, na najbliższym konsystorzu, który ma się odbyć w czerwcu. Mianowany kardynałem przy San Martino ai Monti, wycofał się na miesięczne rekolekcje do Monte Cassino, aby jak najgodniej przygotować się do objęcia stolicy św. Ambrożego. Stąd udał się jeszcze z pielgrzymką do Lourdes. 8 września odbył ingres do swej stolicy, a w niecałych 5 miesiącach później, po 14 głosowaniach, w dniu 6 lutego 1922 roku został obrany papieżem. Nawijając do tego miał powiedzieć ówczesny prymas Węgier, kardynał Seredi: „Przeprawadziłem go przez 14 stacji drogi krzyżowej, a doprowadził wszy na Golgotę zostawiamy samego”. Opuszczony przez ludzi papież Pius XI nie był sam: znalazł tam swojego Mistrza, którego uniwersalne królowanie z Krzyża miał światu wkrótce przypomnieć encykliką „Quas Primas”, ustanawiając święto Chrystusa Króla.

Ale prawda jest i pozostanie, że tron następcy św. Piotra i wikariusza Chrystusowego utwierdzony jest na Golgotcie, na wzgórzu miłości odkupicielskiej. Wielu też było w dziejach papieży, których przerażała odpowiedzialność królowania z tego miejsca. Św. Grzegorz Wielki schował się w jaskini, by ująć wyboru, a legenda mówi, że światło wielka zdradzała miejsce jego schronienia. Mawiał Adrian II (867-872), że najgorszą rzeczą, jakiej można życzyć wrogowi, jest pestwo. Św. Celestyn V płakał gorzko w swej pustelni, kiedy przybyli po niego kardynałowie, potem zrezygnował z tronu i uległ wrócił do swej eremickiej celi. Paweł III wyrażał się nieraz, że chętnie by zamienić klucze Piotrowe na klucze furtki klasztorne. Powiedział św. Pius V: „Kiedy został kardynałem, zacząłem się obawiać o swoją duszę, a gdy zostałem papieżem, zważyłem o swoim zbawieniu”. Sykstus V, człowiek z żelaza i granitu, miał powiedzieć do tych, którzy go otaczali, gdy umierał: „O, gdybym mógł do końca życia pozostać pomyślnym naczyniem w swoim franciszkańskim klasztorze!” Św. Pius X padł na kolana, pochylili ku ziemi twarz zastoniętą dłońmi i płakał tak bardzo, że od strużki łez zaczęła się podłoga...

Nie wiemy jak przyjął swój wybór Pius XI. Bo od czasu zarządzenia Piusa X tajemnicą jest przebieg całego konklawe. Ale zapewne z odwagą i determinacją, jaka go cechowała przez całe życie, z tą samą być może odwagą, z jaką jeszcze bardzo młody człowiek uspokajał swoje towarzystwo w łodzi, przestraszone gwałtowną burzą na Lago Maggiore: „Nie bójcie się! Łódź, w której ja jestem, nie może zatonać!” Zaraz też po wyborze dał dowód odwagi samodzielnego gestu, kiedy (po raz pierwszy od 72 lat) napisał błogosławieństwo Urbi et Orbi zostało przezeń udzielone z zewnętrznej loggi bazyliki watykańskiej: a od mocy tego gestu historia papiewstwa zamknęła w owej chwili jeden rozdział i zaczęła następny.

Odwagą i pewną ręką prowadził Łódź Piotrową wśród burz i przesławów — Rosja, Meksyk, Hiszpania, Niemcy; i wśród grozy nadchodzącej wojny, którą przeczuwał. Inicjował wielkie miłosierne akcje, jak np. kampanię pomocy dla głodującej Rosji, za co spotkała go typowo bolszewicka forma wdzięczności: „Prawda” w artykule z 31 marca 1923 roku domagała się kary śmierci na Piusa XI(!). W kanonizacjach swego pontyfikatu dawał wzory do naśladowania w osobach Jana Bosco, Józefa Cottolengo, Teresy od Dzieciątka Jezus, Bernardety Soubrous, Piotra Kanizego, Roberta Belarmina, Jana Eudes, Jana Vianney, Alberta

Wielkiego, Andrzeja Boboli. Papież historyk wykorzystywał do pouczenia społeczności chrześcijańskiej jubileusze nauczycieli i bohaterów Kościoła, jak np. 1500 rocznicę śmierci św. Augustyna (24.4.1922), 1000 rocznicę śmierci św. Wacława (23.9.1929), 900 rocznicę śmierci św. Emeryka (5.11.1930), 700-lecie śmierci św. Franciszka Assyjskiego (24.4.1926), 700 rocznicę śmierci i kanonizacji św. Antoniego z Padwy (13.1931), 600 rocznicę kanonizacji św. Tomasza z Akwinu (29.6.1923), 300 rocznicę śmierci św. Franciszka Salezego (8.12.1922), 300-lecie śmierci meczenickiej św. Józefa (12.11.1923), i in.; oraz takich wydarzeń jak 1500 rocznica soboru efeskiego (25.9.1931), 1600 rocznica soboru nicejskiego (15.11.1925), jubileusz Dan-tego itd.

Zasadniczego znaczenia sprawy zawierały jego encykliki. Jest ich 30 — a wśród nich takie jak „Quadragesimo anno” — w rocznicę encykliki „Rerum novarum”, „Casti connubi” — o małżeństwie chrześcijańskim, „Divini illius Magistri” — o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży, „Quas primas”, „Divini Redemptoris”, obie już wyżej wspomniane, oraz „Mit brennender Sorge” i surowa encyklika o wychowaniu kleru „Ad catholici sacerdotii”.

Osobno wymienić należy wspaniałą encyklikę „Rerum Ecclesiae”, poświęconą sprawom misyjnym. A z wielu tytułów do wielkości tego papieża jego działalność na polu misyjnym jest jednym z największych. Wywalał on żelazną ręką misje spod zależności od rządów świeckich, przez co musiały wreszcie ustać nadużycia, wobec których był bezsilny jeszcze Benedykt XV, i które ów papież wyłożył w drugą encyklikę „Mater et Magistra”. Ustało raz na zawsze nieraz w ciągu dziejów stosowane wykorzystywanie misyj do preponderancji politycznych, do podbojów zbrojnych i gospodarczych „misjonowanych” obszarów, do narzucania cywilizacji europejskiej, jak gdyby tylko w jej przybraniu chrześcijaństwo było „prawdziwe”, a co miało ten skutek, że w krajach Dalekiego Wschodu o wielkich własnych kulturach, człowiek, który przyjmował chrześcijaństwo, stawał się zdrajcą i zaprzęciem w oczach swych niechrześcijańskich rodaków. Konsekrowanie biskupów Chińczyków, Japończyków, troska o semina-ria dla kleru miejscowego itp. — wszystko to stworzyło wspaniałe podstawy pod rozwój już nie misyj ale kościołów, samostojnych części Kościoła Powszechnego; obecny pontyfikat zbiera owoce tej jedynie słusznej i wielkiej myśli oraz idzie dalej tą samą drogą. Toteż całe poprzednie wieki misjonowania od XIII stulecia począwszy nie dały Kościołowi tyle, ile krótki okres, jaki upłynął od reform Piusa XI w roku 1925 — do naszego czasu.

Cddzielone Kościoły wschodnie zapraszały do jedności, a katolickim teologom przypominały, aby w stosunku do nich pamiętali przede wszystkim o tym, co nas wspólnie łączy. Choć na tle ekumenizmu, który wyszedł z Kościołów protestanckich, musiał się przeciwstawić złudzeniom „panchryścianizmu” czy jakiegos odcieleniowego chrześcijaństwa „światowego”, z uszczuplonym Depozytem, z zatartymi i zacieranymi prawdami, to jednak podkreślił wielkodusznie i z miłością, że „odłamy skały złotodajnej też są złotodajne”.

Był też Pius XI „papieżem Akcji Katolickiej”, choć nie był jej twórcą jak to się nieraz błędnie głosi. Twórcą Akcji Katolickiej był św. Pius X i w roku 1955 minęło 50 (Dokończenie na str. 23)

KS. WALERY JASINSKI (Orchard Lake)

AMERYKAŃSCY PROFESOROWIE „OPOWIADAJĄ” O POLSCE WSPÓŁCZESNEJ

Na uniwersytecie w Ann Arbor, Michigan, odbywa się, staraniem wydziału nauk politycznych i socjologii, seria wieczorów dyskusyjnych o współczesnych problemach. Jeden z ostatnich wieczorów był poświęcony Polsce. Przewodniczący i czterej referenci, to profesorowie różnych uczelni i każdy z nich ostatnio zwiedził Polskę. Każdy miał ze swojego punktu widzenia „opowiadać” o Polsce, co go w niej uderzyło. Nie były to formalne wykłady, lecz swobodne, czasem humorystyczne „opowiadania”, mogące rzucić ciekawe światło na sprawy polskie, interesujące Amerykanów.

Przewodniczącą, profesor nauk politycznych z Ann Arbor, nazwał w introdukcji Polskę najbardziej ciekawym krajem za żelazną kurtyną, szczególnie teraz po zmianach październikowych z roku 1956.

Pierwszym referentem był profesor języka polskiego w Orchard Lake, Michigan, (ks. Paszkowski). Przedstawił on najtrudniejszy aspekt współczesnej Polski: „zagadkę jasnogórską”. Jak zrozumieć, co się stało w Polsce: rola robotników i młodzieży w walce o religijną wolność i chleb — półtora miliona pielgrzymów w Częstochowie — uwolnienie ks. kardynała Wyszyńskiego, innych biskupów i księży aresztowanych, nauka religii w szkołach państwowych, ślubowanie jasnogórskie narodu — dążenie do duchowego odnowienia narodu — przygotowanie się narodu do milennium Chrztu Polski?

Tajemniczym źródłem siły do wytrwania, kompasem w zawierusze dziejowej, bronią pokonującą kłamstwo i nienawiść, jest w Polsce wiara, prawda i miłość, albo konkretnie: Bóg i Matka Boska Częstochowska. Amerykanie mogą rozumieć realną siłę ideałów i zasad moralnych, jeżeli sobie zdają sprawę z tego, że ich potęga wyrosła z twardej prawdy, że każdy człowiek ma nienaruszalne prawa, które otrzymał od samego Stwórcy. Polacy do tego dodali, że człowiek ma nie tylko prawa, ale także obowiązki wobec Boga, które trzeba brać bardzo na serio, jeżeli się chce korzystać z pomocy Bożej oraz cieszyć się godnością ludzką i tętną duchową w wolności i szczęściu.

Profesor matematyki z uniwersytetu Ann Arbor (Anderson), który się wybrał do Polski, aby się bliżej zapoznać z polską matematyką logiczną, niestety nie włada językiem polskim, porozumiewał się w Warszawie po angielsku i po niemiecku. Był zaleźny od tego, co mu pokazano i tłumaczono. Zauważył on, że prawie wszyscy Polacy podziwiają i kochają Amerykanów. Sądzi, że to stoi w związku z Włosem i zmartwychwstaniem Polski po pierwszej wojnie oraz siedmiu milionami Polaków w Stanach Zjednoczonych, którzy utrzymują serdeczne stosunki z Polakami w Polsce.

Uderzyło go, że Polacy wobec niego popisywali się amerykańskim tańcem rock-n-rolli oraz tańcem strip-teas. (W Ameryce ludzie wykształceni raczej się wstydzą takich objawów braku kultury u swoich.) Polacy są mocno nacjonalistycznie nastawieni. Chorują oni na „miły” kompleks niższości, tak iż podziwiać można, jak umieją się śmiać z siebie samych.

W dziedzinie nauk przyrodniczych Polacy stoją niżej od Amerykanów, jeżeli chodzi o

wyposażenie laboratoriów. Co do matematyki — wystarczy mieć kawał papieru i ołówek, aby stwierdzić, iż tu nadal Polacy przodują światu.

Polacy bardzo nie lubią Niemców i Rosjan, co rozumieć można, jeżeli się pamięta Katyń i Oświęcim. Nikt nie nazywa Gomułki najlepszym, bo przecież jest komunistą, ale jest on mniejszym złem od tego, co było, tym bardziej, że teraz Polacy cieszą się wolnością, która wydaje się fantastyczną tym, którzy żywo pamiętają, co było przed Gomułką.

Polacy bardzo się interesują naukami, ale ich standard życia jest raczej niski. Ponadto dużo jest prawdy w tym, że w Polsce panuje korupcja, kradzież, niski poziom moralności seksualnej i pijanstwo. Jest to wynik stonków, stworzonych przez okupację jedną i drugą. Kradzież zdaje się nieraz być jedynym środkiem, aby móc żyć.



Procent ludzi religijnych w kołach matematyków jest niski. Inni są ateuszami. Wśród wykształconych Polaków jest o wiele niższe życie religijne niż w naszym społeczeństwie. Między ludem prostym jest żywa wiara. Antysemityzm jest jeszcze w Polsce żywy, choć się zmniejsza, zwłaszcza wśród inteligencji.

Polacy chętnie by przyjechali na studia do Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Amerykanie się obawiają, że tacy polscy studenci mogliby przynieść do Ameryki komunizm, to na to jest prosta odpowiedź w powiedzeniu: najlepszym sposobem, aby studenta wyleczyć z komunizmu, jest posłać go albo do Moskwy, albo do Stanów Zjednoczonych.

Profesor humanistyki z uniwersytetu Ann Arbor (Farrell), nie władający językiem polskim, ale obecnie uczący się tego języka, w swoim „opowiadaniu”, humorem i zyczliwością dla Polaków podziwiał, nazwał Polskę krajem oszłamującym (intoxicating). Paszport amerykański jest bezcennym skarbem w Polsce, bo zapewnia posiadaczowi miłość i uprzejmość Polaków. Nie obawiają się oni jasno wyrazić swoich opinii o stosunkach. Choć Polacy są wrogo nastawieni wobec

Niemiec i Rosji, to jednak do jednostek niemieckich i rosyjskich odnoszą się z wielką gościnnością i grzecznością, o czym można było się przekonać na zjeździe humanistów.

Polacy się oburzają, jeżeli im ktoś mówi, że ich warunki życiowe nie są takie złe, jak gość z zagranicy je sobie wyobrażał. Polacy mają wysokie poczucie godności. Przeszli oni straszne rzeczy, ale nie chcą, aby ktoś nad nimi ubolewał. W Polsce są bardzo trudne warunki mieszkaniowe, trudno o ubrania i urządzenia domowe, a jednak Polacy starają się aby zachowaniem się i zewnętrzną formą przykrywać swoje położenie.

Aby móc żyć, Polacy muszą mieć dwie posady albo uciekać się do kradzieży. Polacy są dumni ze swojego postępu w dziedzinie ogólnego wykształcenia; zajmują się zagadnieniami zasadniczymi. Studenci lubią wesołość, interesują się tańcem rock-n-roll i „jazem”, nie studiują tak ciężko jak amerykańscy studenci, ale więcej się zajmują sprawami socjalnymi i politycznymi niż ich kole-dzy w Stanach Zjednoczonych.

Wszyscy, rządzący i rządzeni, w Polsce, zdają sobie sprawę z tego, że Polaka już nie można pozyskać samymi (puszystymi) obietnicami. Polacy są dobrymi lingwistami, teatry ich dobrze wystawiają sztuki polskie i zagraniczne.

Polacy pytają Amerykanów, czy jest cenzura listów w Stanach Zjednoczonych i jaki jest stan kwestii murzyńskiej. (Na to ostatnie pytanie profesor w Polsce odpowiedział, że jest poprawa pod tym względem.)

Profesor języka polskiego na wydziale języków słowiańskich na uniwersytecie Wayne w Detroit, Michigan, (Ordon), który oczywiście dobrze włada językiem polskim, zwrócił uwagę na zniszczenie ekonomiczne, dokonane w Polsce. W dziedzinie wydawnictw polskich uderza fakt, że domy wydawnicze są przeładowane drugimi i trzecimi wydaniem prapagandowych książek komunistycznych, których pierwsze nakłady nawet nie są sprzedane. Teatr polski jest na wysokim poziomie. Mimo niechęci swojej do Niemców i Rosjan Polacy umieją realistycznie patrzeć na sprawę współzycia Polaków z sąsiadami w geopolitycznej rzeczywistości europejskiej, co świadczy o dojrzałości politycznej Polaków.

W dyskusji pytano, w jakiej mierze współpracuje ks. kardynał Wyszyński z Gomułką. Odpowiedź brzmiała: że obaj rzeczywiście się zgadzają na to, że obaj są zagrożeni przez Moskwę, której nie chcą sprokocować do powstania tragicznych zajęć węgierskich, a każdy z nich dalej służy swojemu zupełnie przeciwnym założeniom ideologicznym. — Ktoś inny, nawiązując do problemu kradzieży w Polsce, twierdził, że Polacy właściwie nie kradną, bo biorą to, co im odebrano. — Na pytanie o stosunek kleru do Gomułki nie było odpowiedzi.

Inny znowu zwrócił uwagę na to, że prelegenci zostawili wrażenie sprzeczności, a mianowicie, że w Polsce panuje intensywne życie religijne i ateizm, usilne dążenie do moralności i niemoralność, wykształcenie i „rock-n-roll” lub „jazz”. Chcąc ten stan rzeczy zrozumieć — podkreślono w dyskusji — trzeba pamiętać, że Polska została zrujnowana nie tylko fizycznie przez okupację, ale

także i moralnie, kulturalnie, ideowo, psychicznie i politycznie. Ponadto Polska jest polem bitwy obcej, trzeciej wojny światowej, która jest wojną zimną, psychologiczną, ideową, moralną, światopoglądową i naukową. Co gorsza, w tej walce Polacy, broniąc zasad kultury i chrześcijaństwa, nie mogą się spodziewać pomocy ani od strony nihilizmu i komunizmu rosyjskiego, ani od strony materializmu i idealizmu filozoficznego niemieckiego, ani od strony materializmu i amoralnej „expediency” alianatów. Żołnierze na polu walki w czasie bitwy często muszą robić rzeczy, których by nie robili w normalnych warunkach.

Na tym zakończył się dwugodzinny wieczór dyskusyjny. (Poprzednie dwa były poświęcone współczesnej Rosji, o której także mówili referenci, którzy ją osobiście zwiedzili.)

Tego rodzaju dyskusje są pouczającym wydarzeniem dla Polaków, a — sądząc — obowiązkiem dla inteligencji Polonii. Niestety, wykształceni członkowie Polonii unikają takich dyskusji, a jeżeli w nich biorą udział, to albo nic nie mówią, albo czują się dotknięci, wprost „obrażeni”, jeżeli ktoś puł porusza błędy, wady, grzechy, niedociągnięcia Polaków, lub wyznaje swoje własne błędne, powierzchowne, spalone pojęcia o sprawach polskich, albo publicznie prosi o wyjaśnienia drażliwych problemów polskich. (Na domiar złego w Ameryce przyjęło się twierdzenie, że nie można spokojnie z Polakami przedyskutowywać problemów polskich.)

A jednak publiczne i szczerze dyskusowanie wszystkich publicznych problemów jest przyjęte w Stanach Zjednoczonych, jest konieczne w systemie demokratycznym, a nie do uniknięcia dla każdego, kto chce mieć jakikolwiek wpływ na opinię publiczną. Nikt w Ameryce nie może się uchylić od publicznego przedyskutowania swoich publicznych wystąpień ani od wystawiania się na publiczne krytyki i ataki, wyraźne i uderzające w sedno rzeczy, w formie pytań dyskusyjnych. Żaden prezydent, żaden członek rządu, żaden senator lub poseł, żaden kandydat na jakikolwiek ważniejszy urząd nie może uniknąć tych publicznych dyskusji, które są często transmitowane przez radio i telewizję, nagrywane na taśmie i ponadto streszczane w prasie, a w wypadkach kontrowersyjnych dosłownie przedrukowywane. Najtrudniejsze i najważniejsze nawet dla prezydenta Ameryki, dla członków rządu i ważnych osobistości są „dyskusje prasowe”, w których przedstawiciele prasy, fachowcy danych dziedzin, bardzo umiejętnie wypytują swoją „ofiara”.

Gdy chodzi o zagadnienia ważne, urządza się publiczne dyskusje, na które się zaprasza możliwe po dwóch referentów z przeciwnych obozów. Publiczność po wysłuchaniu ich wywodów zadaje pytania. A ponieważ w tych dyskusjach biorą udział ludzie żywo zainteresowani w danym zagadnieniu, pytania te często sięgają głęboko.

Niektóre szkoły średnie amerykańskie nadają takie akademickie dyskusje „pro et contra” przez radio. Przypomina to średniowieczne dyskusje uniwersyteckie.

Niewątpliwie dyskusja taka daje możliwość wszechstronny wgląd w publiczną sprawę, wykrywa ukryte zamiary i wytyka płytkość argumentacji.

Jeżeli Polacy w Ameryce — poza zbieraniem pieniędzy, wysyłaniem paczek i podtrzymywaniem się wzajemnie na duchu — chcą coś pozytywnego zrobić dla Polski i Kościoła w Polsce, powinni brać czynny udział w takich dyskusjach uniwersyteckich, radiowych,

telewizyjnych i prasowych niepolskich. To znaczy w praktyce, że powinni na swoich własnych zebraniach ćwiczyć się w technice takich dyskusji a oczywiście uczyć się, jak przedstawić sprawy swoje publicznie wobec nie-Polaków i nie-katolików, wobec ludzi przeciwnych zapatrywaniom albo wprost wrogim nastawionym.

Udział Polaków w tych dyskusjach jest niewielki. Dochodzi do takiego absurdu, że o sprawach polskich i katolicyzmu polskiego mówią i piszą nie-Polacy i nie-katolicy, którzy nierzadko nawet nie znają języka polskiego, a muszą się opierać na tłumaczeniach a to często z źródeł angielskich, niemieckich i rosyjskich. Nieraz ci Amerykanie mimo wielkiej swojej życzliwości dla Polski nie mogą zrozumieć ani ducha polskiego, ani właściwego znaczenia spraw polskich, o których mówią na podstawie zewnętrznych spostrzeżeń. Na domiar złego nierzadko sami Polacy takiemu obcokrajowcowi-niekatolikowi chcą się przypodobać tym, że oni też mają „rock and roll”, „jazz” lub „strip tease” tańce, (może myśląc, że on tylko to rozumie, a zapominając, że mają do czynienia z bystrym obserwatorem).

Nieraz amerykańscy goście, przeczytawszy tyle o religijności katolików polskich, szukają jej objawów. Niestety, nieraz Polacy wobec niekatolików raczej ukrywają swoją religijność, aby nie ambarasować obcego, albo aby się popisać tym, że są „liberalni”, albo dla tego, że nie umieją na poziomie uniwersyteckim mówić o sprawach katolickich z inteligentem niekatolikiem. Niekiedy po prostu dla przykrycia nędzy własnego życia moralnego zbywają pytania, odnoszące się do religii, uogólnieniem, jakoby wszyscy inni też byli „niereligijni”.

Nedoręcznością niewątpliwie jest czuć się obrażonym, jeżeli ktokolwiek na publicznej dyskusji wyraża opinię o sprawach polskich odmiennie od przekonań danego Polaka. Taka wymiana myśli jest wielce pożyteczna dla jednej i drugiej strony, pomaga bowiem poznać, co inni myślą, co w ich duszach realizuje nasze najlepsze wywody; daje nam możliwość poznać własną ciasnotę umysłową lub niedojrzałość polityczną lub aluzję; umożliwia nam poprawienie własnych niedociągnięć; daje nam okazję: sprostować błędne przekonania innych, zapobiec szerszeniu się szkodliwych opinii, odstąpić ukryte tendencje a nierzadko przemienić uczciwych przeciwników w przyjaciół; a wreszcie pomaga nam udostępnić naszą sprawę najszerszemu ogółowi. To ostatnie jest szczególnie ważne w krajach demokratycznych, w których rząd musi się liczyć z większością głosujących.

Najnowsza imigracja polskiej inteligencji i druga generacja polska w Ameryce, już wychowana w szkołach średnich lub nawet wyższych, ma tu wspaniałe i ciekawe pole działania.

Jak pilne jest to zadanie, wynika z wciąż ważnego powiedzenia: „Polska to klucz do Europy” („Poland the Key to Europe” by Raymond Leslie Buell, Alfred A. Knopf, New York, 1939). Jaka Polska, taka Europa. Jeżeli Polska jest zagrożona, cała Europa i Kościół w niej są zagrożone; jeżeli Polska jest wolna, wtedy i Europa i Kościół w Europie cieszyć się mogą wolnością! Każdemu więc, komu na sercu leży Polska, Europa i los Kościoła w centralno-wschodniej Europie, nie może uchylić się od swojego udziału w inteligentnej i moralnej służbie dobra wspólnego.

Ks. Walery Jasiński
(Orchard Lake)

PORTRET POLSKIEGO MIASTA

Wspomnieliśmy niedawno, iż w angielskiej prasie codziennej i tygodniowej ilustrowanej spotyka się coraz częściej zdjęcia z naszego kraju i artykuły o nim. Szczególnie uderza podkreślanie w nich niektórych charakterystycznych dla Polski jej cech katolickich. Na prawie całej stronie 12 znanego i poważnego dziennika konserwatywnego „The Daily Telegraph” z dnia 2 grudnia br. zamieszczono „Portret polskiego miasta prowincjonalnego” z sześciu dobrymi zdjęciami i krótkim artykułem pióra Davida Floyda, o którym dość dziwnie przy portrecie polskiego miasta zaznaczono, iż jest on „specjalnym korespondentem od spraw komunistycznych”.

Miastem portretowanym jest bowiem Piotrów Trybunalski, którego nazwę objaśnia Floyd swym czytelnikom jako pochodząca od odbywanych tu w wiekach XVII i XIX licznych trybunałów. Miasto, które miało okryś świętości i upadków, obecnie znów powraca do życia po długoletniej okupacji wojennej i gospodarce socjalistycznej. Prawie jedna czwarta spośród 50.000 mieszkańców pracuje w trzech miejscowych hutach szklanych i w fabryce tekstylnej, w której obok maszyn angielskich stoją rosyjskie. W budowie jest wytwórnia przyrządów dla górnictwa, mają być w niej wyrabiane między innymi lampy górnicze według patentu angielskiego. W mieście nie ma bezrobotnych, odczuwa się nawet brak rąk do pracy w fabryce tekstylnej i w budownictwie.

W miejskiej radzie narodowej decydują większością komuniści, ale zasiadają w niej też ludzie z partii „demokratycznej” i „ludowej”, które mają swobodę werbowania członków. Miejscowe Towarzystwo Przyjaciół Polski-Sowieckiej jest, jak wszędzie indziej, w upadku.

Największy problem przedstawia dla Piotrkowa sprawa mieszkaniowa. Na zaplanowanych 2.000 kandydatów na mieszkanie zbudowano w całym roku 1956 — 36 mieszkań. Następnym, najbardziej poważnym problemem jest spożycie alkoholu, sprzedawanego w rocznej ilości około 200.000 pint czystego spirytusu — stwierdza angielski dziennikarz.

Przybywszy z Zachodu uderza prawie zupełny brak lokali rozrywkowych; miasto ma tylko dwa kina, pięć restauracji i jedną kawiarnię. Tylko 5.000 rodzin ma radio, a innych 4.700 korzysta z radiowęzłów, nie ma tu ani jednego aparatu telewizyjnego.

Spośród zdjęć, które uzupełniają artykuł, najokazalsze przedstawia największy w Piotrkowie Trybunalskim plac Kościuszkowski z wejściem do kościoła bernardynów, przed którym stoi kolumna ze św. Antonim. Na innym zdjęciu z wnętrza tego pięknego, typowego polskiego kościoła w stylu barokowym, widzimy nad wielkim ołtarzem napis: „Królowo Polski — prowadź nas!”, co zdaniem autora przypomina wdziołki o „łączności uczuć religijnych z patriotycznymi”. Na innym zdjęciu widzimy długi ogonek przed kioskiem z gazetami na tle rusztowań wokół odnawianego zabytkowego gmachu. Floyd twierdzi, iż wobec katastrofального braku mieszkań ludność odnosi się krytycznie do takich starannie robionych restauracyjnych. Dalej oglądamy piękny zakątek miasta ze starymi domami, wewnątrz huty szklanej i pracujących w niej robotników, a w końcu odpoczywającego w swej doroczce („konnej, ale na pneumatykach”) jej właściciela w prawdziwej polskiej... tufajce.

OBWÓD KOŁA — O POEZJI T. S. ELIOTA

Napisał MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

„Sybilla, która szalejącymi ustami mówi rzeczy poważne, pozbawione ozdoby i wdzięku, przebiegająca swym głosem dziesiątki tysięcy lat za przyczyną boga”, oto jakby — używając słów Heraklita, o sobie samym — określić można opnię, jaką miała do niedawna, a nawet ma do dziś o T. S. Eliocie większość czytającej publiczności. W części należałoby się z tą opinią zgodzić. Niewątpliwie bowiem znajdując się w jego twórczości — bardziej niż u któregośkolwiek ze współczesnych mu poetów anglosaskich — akcenty prorocze i w istocie „przebiega on swym głosem tysiące lat”, a styl jego, nie pozbawiony wprawdzie wdzięku, unika jednak świadomie ozdób.

Czytelnik polski zna tę twórczość raczej ze słyszenia. Niewielką tylko jej część tłumaczono na nasz język.

Na czytanie Eliota w oryginale niewiele Polaków chce się zdobywać, gdyż odstrasza ich rzekoma „trudność” tej poezji i przeławianie komentarzami i odnośnikami. Otóż oskarżenie o nadmiar odnośników polega na nieporozumieniu i jest jeszcze jednym (jeżeli byłoby to potrzebne) dowodem naszej narodowej skłonności do przesady. Tylko jeden utwór poety, „Ziemia jałowa”, zaopatrzony jest w obszerny komentarz. Nasuwa się pytanie, czy zostało to spowodowane wyjątkowo jego niezrozumiałością? Większą niż gdzie indziej ilością iluzji czy cytat? Przypuszczam, że niemal do każdego utworu Eliota można by dodać wyjaśnienia wielokrotnie przerażające objętością właściwy tekst, a cykl poematów o tematyce filozoficznej — „Cztery kwartety” — wymagałby ich pozornie bardziej niż „Ziemia jałowa”. Więc niekonsekwencja? Kaprys? Zapewne nie. Eliot jest wyjątkowo, jak na poeetę, twórcą konsekwentnym. Pozostaje jedno tylko wyjaśnienie: komentarze i odnośniki stanowią — w pewien specjalny sposób — organiczną część poematu. „Ziemia jałowa” jest utworem eksperymentalnym. Eksperymentalność ta wyraża się m. in. w próbie użycia komentarza jako czynnika wierszotwórczego. Spełnia on rolę jakby dodatkowego światła w teatrze.

Eliot jest autorem wymagającym — żąda bowiem od swych czytelników twórczej współpracy. „Bezużyteczne jest podchodzenie do Eliota w stanie mądrej bierności. Musicie używać waszego rozumu”, zauważa M. C. Bradbrook w swojej książce „T. S. Eliot”, a Lawrence Duvrell w „Kluczu do poezji nowoczesnej” pisze o „Ziemii jałowej”, że „...mamy w niej dany surowy materiał”. Może za wiele powiedziałem, że poeta „żąda” — było tak w latach jego młodości, dziś już tylko doradza: „Z wiekiem stajemy się, być może, mniej dogmatyczni i pragmatyczni” pisze we wstępie do „Esejów wybranych” (1951).

Bądź co bądź jednak współpraca czytelnika jest potrzebna do pełnego ocenienia wartości Eliotowych utworów. Przeczytanie „Złotej gałęzi” sir Jamesa Fraszera, czy gruntowna znajomość „Boskiej Komedii” Dantego, może istotnie wpłynąć na ocenę „Ziemii jałowej”. Wpływ, jaki na ocenę jakiegos utworu ma jego stosunek do innych dzieł, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Sam Eliot pisze o tym parokrotnie, ale najwyraźniej zapewne w szkicu „Tradycja i indywidualny talent”. Warto zaznaczyć, że rozprawka ta powstała na trzy lata przed opublikowaniem „Ziemii

jałowej”, a zapewne w trakcie pracy nad tym poematem. Wskazówką co do czasu, w którym utwór się formował, może być jego część czwarta, „Śmierć przez wodę”, która stanowi rozszerzoną wersję ostatniej zwrotki francuskiego wiersza „Dans le restaurant”, drukowanego w „Poematach” Eliota z 1920 r.

We wspomnianym szkicu „Tradycja i indywidualny talent” autor wyraża pogląd, że pisarza nie można rozważać w oderwaniu od jego poprzedników. Wpływają oni nań jak i on w pewnym sensie wpływa na ocenę ich twórczości. Aby wyrobić sobie należyty stosunek do poezji Eliota, trzeba posiadać znajomość nie tylko literatury angielskiej, lecz w ogóle europejskiej. Ale znajomość taka potrzebna jest zawsze, gdy chcemy wyznaczyć sprawiedliwe miejsce dokonania jakiegokolwiek artysty w rzeczywistości kulturalnej.

Trudności, które napotka czytelnik „Ziemii jałowej” wyniknąć mogą z alegoryczności tego utworu. Z natury rzeczy łatwiej jest ocenić wartość poematu, który tłumaczy się sam przez się, niż posiadającego w całości lub w poszczególnych częściach znaczenia wtórne. Ale te właśnie znaczenia wzbogacają poezję, gdyż uintensyfikują obrazy. Eliot poświęcił temu zagadnieniu wnikliwą analizę w swoim szkicu o Dancem, który to szkic, jak i większość krytycznej twórczości autora „Czterech kwartetów”, stanowi najlepszy komentarz do jego własnej poezji. Szkic o Dancem i reminiscencje z Wielkiego Toskańczyka zagęszczone programowo w „Ziemii jałowej”, ale rozsiadane i po innych utworach poety, nie są oczywiście przypadkowe. Dante był arcy mistrzem alegorii i Eliot świadomie doń nawiązuje. Użycie alegorii pociąga za sobą w sposób naturalny oszczędność w stosowaniu metafor. Alegoria jest sama rodzajem szerokiej przenośni i — jak zauważa Eliot — „Z trudem można w niej znaleźć miejsce na metafory w detalich”.

W „Ziemii jałowej” poeta pozornie ogranicza swoją rolę do pokazywania samych obrazów. Z tych fragmentów, których liryczne napięcie jest wielkie, ale dyskretne — czytelnik (czy słuchacz) ma sam stworzyć ową jałową ziemię, stanowiącą temat poematu. Poeta wstrzymuje się od uogólnień. My sami poznajemy całość owego smutnego świata. On kieruje tylko naszym wzrokiem i uwagą. Śpiew „trzeciej córki Tamizy” z „Kazania ogólnego” (część III-cia) — historia dziewczyny z Highbury, jest typowym przykładem sposobu, jakim Eliot oprowadza nas po stworzonym przez siebie świecie:

„Tramwaje i zakurzone drzewa,
Highbury zrodziło mnie. Richmond i Kew
Zabiły mnie. Obok Richmondu podniosłam
kolana
Leżąc na znak na dnę wąskiej łódki”
„Moje stopy są w Moorgate, a moje serce
Pod stopami. Po tym co zaszło
Płakał. Obiecywał „lepsze życie”
Nic nie rzekłam. I o cóż mieć pretensje?
W piaskach Margate
Mogę połączyć
Nic z Niczym
Polamane paznokcie u brudnych rąk
Moi bliźcy, moje skromne otoczenie, nie
oczekują
Niczego”.

Obraz zaczyna się od użycia motywu dantejskiego (z V części „Czyśćca”). Wprowadzone są jednak zakurzone drzewa oraz tramwaje, które zdaje się dopiero dzięki Eliotowi dostały się do poezji angielskiej. Wydarzenie opowiedziane jest najprościej: bohaterka nie umie, a poeta nie chce okazać wzruszenia. Gdyby Eliot rzeczywiście był nadmiernie skłonny do komentarzy, objaśniłby czytelników — z których niewielka część tylko zna Londyn i jego okolice, że Margate jest popularną i zatłoczoną plażą na tym odcinku wschodniego wybrzeża, które stanowi przedłużenie ujścia Tamizy. Powiedziałaby o rzecze pod Richmondem pokrytej wiosną i latem wynajętymi łódkami i o Moorgate — północno-wschodniej części City, pełnej biur zatrudniających tysiące drobnych urzędników. Uznał on jednak podobne objaśnienia za zbędne. Sądząc, że jest to oszczędność uzasadniona. Ktoś bowiem, kto nigdy w życiu nie był w Londynie, z powściągliwego opisu, z napomknięć, właściwie zna już wszystkie te miejsca w sposób najgłębszy — zna ich nudę, brzydotę, albo tani urok.

Warto tu może dodać, że poemat realizuje z rzadko doskonałością jeden z naczynnych postulatów sztuki: piękno brzydoty, fascynujący tragizm nudy, nieodczuwalność codzienności. Nazywam ten postulat jednym z naczynnych, gdyż wchodzi tu w grę sprawa najbardziej artystycznego punktu widzenia istotne: przełamanie złudzenia, że dzieło sztuki jest jakby kawałkiem wstążki codzienności, różniącym się od innych większą barwnością.

Dzieło sztuki należy oczywiście do Rzeczywistości (należy nawet głębiej niż nasza powszednia „rzeczywistość”), ale stanowi zupełnie inną jej stronę.

Obraz „Ziemii jałowej”, pokazanej przy pomocy nelicznych i na pozór mało ważnych fragmentów, to obraz kultury starej. Jest to jej portret — nie fotografia.

Charakterystyczną cechą tego świata — jak każdego świata w jego starości — jest nagromadzenie przeszłości i odwrócenie się do niej ze znanstwem i czułością. Nagromadzenie cytat, cagle powoływania się na źródła, to jedna z metod uchwycenia rysów portretowanej rzeczywistości. Cytat zresztą jest więcej niż by można przypuszczać na podstawie odnośników. Dla przykładu wiersz 172: „Dobranoc panie, dobranoc słodkie panie, dobranoc, dobranoc” — pochodzi z „Hamleta”. Są to słowa Ofelii w jej przedostatniej scenie. Wiersz 48 zaś to cytat z „Burzy”, akt I, scena 2 (posenka Ariela).

Nasuwa się pytanie, dlaczego ta pozorna dowolność w zaznaczaniu utworów, z których pochodzą cytaty? Rozstrzygało tu zapewne przekonanie, iż bardziej charakterystyczne wersy Shakespeare’a powinny być rozpoznane bez specjalnego przypomnienia. Ale grał tu chyba rolę i inny czynnik. Poeta uważa te zwroty za wspólną własność literatury, do której należy. Jego ulubiona forma dalekiego refrenu, czy echa — często stosowane wewnątrz utworu, ale niejednokrotnie również na zewnątrz — jakby echo własnej uprzedniej twórczości — znalazłoby tu swoje rozwinięcie i uzupełnienie: echo już nie własnego głosu, ale wielkiego chóru składającego się z poetów i myślicieli, nieraz bardzo odległych w czasie, a przynajmniej w jego po-

popularnym ujęciu. Można jednak przypuścić, że obok wymienionych powodów istniał jeszcze jeden: jeżeli poeta stosował nagromadzenie cytat jako środek służący okazaniu wpływu i wrośnięcia literatury ubiegłych wieków w życie kulturalne swą a u schyłku, to efekt wzmagają się oczywiście, gdy niektóre z tych cytat wprowadzi się niemal niepostrzeżenie.

Odnośniki w „Ziemii jałowej” nie rozsadzają jednolitości poematu, gdyż są jego integralną częścią, w przeciwieństwie do komentarzy, które często szkodzą utworom innych poetów przez swą (z punktu widzenia wartości poetyckich) przypadkowość. Takie przypadkowe komentarze wynikają zwykle z pobudek ważnych emocjonalnie dla autora i są objawami egotyzmu, przed którym wymownie ostrzega Eliot poetów w swym szkicu „Tradycja i indywidualny talent”.

W całym poemacie z trudem można dostrzec autora. Wspomina o sobie w odnośniku do wstępu o zegarze z kościoła St. Mary Woolnoth, wybijającym martwo ostatnie uderzenie dziewiętej: „fenomen, który często zauważałem”. Całe lata pracy w City mieszczą się w tych paru słowach. Tak poeta wskazał swoje własne miejsce na „Jałowej ziemi”. Wskazał precyzyjnie, ale z pozorną obojętnością. Wprawdzie na początku części III (pt. „Kazanie ogniste”) przemawia Eliot w pierwszej osobie, ale i ten, trzykrotnie powtórzony zwrot: „Słodka Tamizo, płyn łagodnie nim skończę mój śpiew” jest zaczerpnięty z „Prothalamiona” Edmunda Spensera. Nawiązanie do wielkiego poety elzbietańskiego nie wydaje się przypadkowe: jednym z obrazów tej samej części jest przejażdżka Elzbiety i Leicesterera po Tamizie. To nawiązanie do czasu chwwały i żywotności jako kontrast z martwością dnia dzisiejszego — wskazują wyraźnie gdzie szukać należy niedopowiedzianych rozwiązań ideowych poematu.

„Ziemia jałowa” pokazuje rozpaczliwość życia w dzisiejszym świecie. Najgłębiej pesymistyczna wydaje się część IV, wypełniona opisem śmierci fenickiego żeglarza Phlabaasa. Owa śmierć bowiem — śmierć w życiodajnym i twórczym żywiole wody, śmierć, która jest Wielkim Uspokojeniem („Phlabaas — Fenicjanin... zapomniał krzyk mew i rozkołysane morze i zysk i stratę...”) wydaje się — jak słusznie zauważył W. Borowy — godna pozazdroszczenia. Ponury urok tej śmierci niebiera specjalnego znaczenia, gdy go zestawimy z mottem utworu zaczerpniętym z Petroniusza: „Przecież widziałem Sybillę na własne oczy, w Kumach, gdzie ją trzymają w wiszącym słoju, a kiedy chłopcy mówili do niej: czego chcesz, Sybillo? odpowiedziała im: chcę umrzeć”.

Pomimo swej tragiczności nie jest „Ziemia jałowa” poematem beznadziei. Jej ostatnie akcenty wskazują, mimo wizji kataklizmu, mimo upadających wież stolic, że nie wszystko w poczuciu autora jest stracone. Program ratunku nie został jasno podany, szukać go należy w późniejszej twórczości poety. Wielokrotnie mówiono o podobieństwie twórczości Eliota do „Boskiej Komedii”. W porównaniu tym (u nas podjął je Borowy) „Ziemia jałowa” miałaby być „Piekiełem”. Tłumaczenie takie jednak (według którego „Popielec” miałby być „Czystańcem”) wydaje się być nieco dowolne. Trzeba uznać raczej, że poemat jest artystyczną całością, a jej ostatnie akcenty, to nie zapowiedź dalszego ciągu, ale właśnie zamknięcie, które u wielkiego artysty zawsze jest otwarciem, bo rzeczywistość nie ma kresu. Zdają się go tylko mieć w pewnym sensie słowa ludzkie, a i o nich rzec by raczej należało nie: „kres”,



T. S. Eliot z żoną

ale „zakreślona granica”, granica ruchu — nie trwania. „Ziemia jałowa” stanowi punkt centralny i niejako syntezę pierwszego okresu twórczości Eliota. Okresu, w którym przeważa ostry krytycyzm w stosunku do środowiska, w jakim poeta wyrósł. Wiele wierszy powstałych w latach 1909-1920 — to portrety (lub karykatury) ludzi, którzy — być może nieświadomie — doprowadzili ziemię do stanu jałowości. Ludzi na swój sposób uczciwych, o których Eliot powie w wiele lat później: „Tu byli porządni a bezbożni ludzie: jedynym ich pomnikiem asfaltowa szosa i tysiące zgubionych piłek golfowych”.

W tym pierwszym okresie twórczości zjawiają się zapowiedzi wszystkich niemal późniejszych osiągnięć. Zjawiają się też ulubieni bohaterowie i symbole: Aponek Sweney — „uosobienie świńskości”, zdrowy chłopek, do którego autor ma rodzaj szorstkiej sympatii, Phlabaas — Fenicjanin i związany z nim ożywczy element wilgoci wody. Wreszcie susza — żywioł obumierania. Niech was nie zwodzi przedwczesna śmierć Phlabaasa w „Ziemii jałowej”: duch jego nawiedzać będzie odtąd poetę i — bezimienny — podtytuł je mu niejedną przenośnią, wskaze obraz, a wreszcie zawiedzie do grupy samotnych skał na północno-wschodniej stronie Cape Ann: do „The Dry Salvages”. Zarówno „Popielec”, jak chóry „Opoki”, czy wreszcie „Burnt Norton” mają swoje korzenie w wczesnym okresie twórczości, w którym zresztą najłatwiej siedzieć wpływ i reminiscencje, jakie kształtowały późniejszego autora „Czterech kwartetów”.

Niewątpliwie ciekawe i pouczające jest zauważyć różnorodność tym wpływów: Baudelaire, Apollinaire, Ezra Pound, Dante, Shakespeare, poeci mistycy XVII wieku... Lista taka jednak, choćby najdłuższa, w niczym nie umniejsza oryginalnych wartości samego Eliota. Przeciwnie: okazuje świadome jego wrośnięcie w kulturę angielską i europejską. Właśnie owa świadomość jest u poety tak oryginalna. Słusznie zauważył Lawrence Durrell w swoim „Kluczu do poezji nowoczesnej”, że „wielki poeta zawsze ży-

cza, ale zawsze oddaje z naddatkiem i jego twórczość jest czymś więcej niż sumą pozyczek”.

Okres, który nastąpił po „Ziemii jałowej” zaznacza się wyraźnym położeniem nacisku na pierwiastek religijny. Nie znaczy to, aby ironia ustąpiła. Sweney i jego otoczenie pojawiają się we fragmentach „Sweney Agonistes”, a chóry „Opok.” pełne są gniewu i pogardliwej ironii. Ale teraz potrzeba szukania rozwiązań nie pozwala zatrzymać się wyłącznie na krytyce negatywnej. Jest to okres, w którym Eliot coraz wyraźniej skłania się do chrześcijaństwa, widząc w nim jedyną drogę do beznadziejnej na pozór sytuacji, w jakiej ugrzęzła Europa, czy w ogóle — świat. Minął już czas, w którym poeta porównywał Kościół do sennego hipopotama (a porównania wypadają zawsze na korzyść tego ostatniego). Już w „Pustych ludziach” z 1925 roku widzimy wyraźny zwrot:

„Pomiędzy pragnienie
A Spazm
Pomiędzy możność
A isnienie
Pomiędzy istotę
A przejawy
Pada cień
Bo Twoje jest królestwo.”

Jeszcze wyraźniej uwidacznia się pierwiastek religijny (a ściślej maryjny) w „Popielcu”. Dżwina to trochę religijność, może nawet nieco dziwaczna, podszyta makabrycznym homorem, a epitety stosowane do Maryi wydawać się mogą śmiało: „błogosławiona sostro, duchu źródła, duchu ogrodu...” Przypomnijmy sobie jednak zwroty z litanii, które przez częste użycie zatraciły już dziś dla nas ostrość: „wieżo z kości słoniowej”, „domie złoty”...

Wydaje się być nico za surowy dla Polaków sąd J. Torosiewicza („Kultura” nr 14, r. 1947), sugerujący jakoby polska tradycja poezji religijnej sprowadzała się do „Kiedy ranne wstają zorze”. Dlaczego sądzić według cukierków produkcji Karpinińskiego? Czy z racji ich popularność? Ale poematy w rodzaju „Popielca” i w Anglii nie należą do popularnych. Gdy tymczasem nasza poezja religijna rozwija się wspaniale od wieku XVI, a szczególnie bujnie w XVIII, zarówno w swym nurcie katolickim, jak i dysydenckim (głównie arianckim). Wreszcie pierwsza połowa wieku XVIII przynosi utwory zarówno piękne jak głębokie. Owa pierwsza połowa wieku XVIII, tak oszczerzo lekceważona i wyśmiewana przez tendencyjnych badaczy i naukowców.

Kogo razi „Popielec” ze swymi tygrysami i mówiącymi kośćmi, niech przeczyta „Ogród paniński” Wespazjana Kochowskiego — jeden z najpiękniejszych, a najmniej znanych utworów tego znakomitego poety, albo — księdza Bakę. Oczywiście, jako wstęp do księdza Baki wskazana jest raczej lektura „O poezji polskiej w wieku XVIII” W. Borowego niż zaślepionej nienawiścią i zaprawionej taną złośliwością „Historii literatury Polski Niepodległej” Ign. Chrzanowskiego.

Następnym przejawem na linii ewolucji twórczej Eliota są chóry do widowiska mistycznego „Opoka”. Już samo założenie tego artystycznego przedsięwzięcia świadczy o kierunku tej ewolucji. „Opoka” — utwór w typie misterium średniowiecznych — powstał z wyraźnym celem praktycznym. Poeta porządkował się dostarczonemu sobie schematowi i napisał swoje chóry językiem pięknym właśnie w jego surowości i prostocie. Prostota i użyteczność, zarówno w życiu, jak w sztuce, są trudniejsze niż ozdobność oraz kapryśny egocentryzm. Eliot zdaje sobie

oczywiście sprawę z tej trudności. Mówi o niej ustami „Opoki”:

„...i wiem
Ze jest trudno być naprawdę użytecznym,
rezygnując
Z rzeczy, które człowiek liczy sobie za
szczęście”

Chóry „Opoki” graniczą nieraz z prozą, z publicystyką, i niewątpliwie przekroczyłyby tę granicę, gdyby ich przed tym nie strzegła wielkość, a zarazem żarliwość talentu. Eliot mówi o tym samym świecie, który był tematem „Ziemii jałowej”, ale tym razem wyraźniej:

„O godne politowania miasta
O zgnięte pokolenie oświeconych ludzi
Zdradzonych w labiryntach swoich
pomysłów.”

Potępienie cywilizacji przemysłowej — jej bezideowość, jej kultu wygody, jest od pewnego czasu modne wśród zachodnio-europejskich pisarzy i wydawców się komuś może dzisiaj tanie, niesmaczne. Należy jednak pamiętać, że popularność jakichś poglądów wśród pisarzy nie musi świadczyć o ich niesłuszności. Nadto, stanowisko Eliota różni się od wielu innych tym, że posiada także swoją część pozytywną. Poeta nie tylko wie, co należy budować — to jest świat oparty na tradycji, prawie i moralności chrześcijańskiej — ale nawet jak się do tego dzieła zabrać.

„Buduję więc jak człowiek musi budować
Z mieczem w jednej dłoni, a z kielnią
w drugiej”.

Bo Eliot nie wierzy w łatwe zwycięstwo — prawdę powiedział w ogóle nie wierzy w zwycięstwo, ale w wiekistą walkę. To właśnie sytość i odpoczynek wydają się mu najgroźniejszą: nigdy nie będzie końca budowaniu, bojowi, męczeństwu. I naiwni są ci, którzy

„Nieustannie próbują uciec
Od ciemności zewnętrznej i wewnętrznej
Marząc o systemach tak doskonałych, aby
już nikt nie potrzebował być dobrym”

Ci, którzy widzą w chórach „Opoki” tylko „zamówien e społeczne”, zapominają, że użyteczność, przydatność, nie są w dziele sztuki wodą. Prawda: stwarzają problemy do rozwiązania — problemy z zakresu techniki tworzenia, — ale praca artysty właśnie polega na przewycięzaniu w takich trudności. Często zdarza się, że błędna z czasem bezpośrednie przyczyny powstania utworu. Pozostaje dzieło — pomnik twórczej pracy własnej w przewycięzanie trudności.

„Teraz ujrzyś świątynię ukończoną:
Po ciężkim wysiłku, po wielu przeszko-

dach,
Bo dzieło tworzenia nie może być dokonane bez pracy”.

W twórczości poetyckiej Eliota, rozwijającej się konsekwentnie od swych ironicznych początków ku wysokiej mądrości: „Czterech kwartetów” jest pozycja, którą sam twórca wahał się zaliczyć do Poezji. I tak „O’ d Possum’s Book of Practical Cats” w spisie książek poety dołączonych do „Selected Essays” z 1951 figuruje w osobnym dziale, nazwanym skromnie „Wiersze”.

W podobnym spisie umieszczonym na obwolucie „Czterech kwartetów” (wydanie z 1952) „Praktyczne koty” wróciły jednak do działu „Poezji”. Ten zaszczyt słusznie, jak sądzę, im się należy. Szczególnie „Tajemniczy kot Macavity” zasłużył sobie uczciwie, aby znalazł miejsce na Parnasie obok kotów Baudelaire’a i Kiplinga. M. C. Bradbrook nazwała „Macavitygo” i „Mefistofla” „najlepszymi portretami poetyckimi”. Doskonałość i precyzję obserwacji

psychologicznej ocenić może tylko prawdziwy przyjaciel i znawca kotów, który przeżył z nimi wiele lat pod jednym dachem. Ale poetyckie piękno tych obrazków: ich dowcip są łatwo dostępne dla każdego.

Dzieło Eliota przypomina — jeśli można pozwolić sobie na tak zużyte porównanie — bieg rzeki: pozornie zawila, zmierza jednak uparcie ku Wielkiemu Morzu. Poprzez ostrą ironię młodości, poprzez wypełnioną cytatai i aluzjami „Ziemię jałową”, poprzez wznagający się i krystalizujący nurt religijny „Popielca” i „Podróży trzech Magów”, który osiągnął swój szczyt w surowym patosie „Opoki”, aż po pogodny uśmiech księżki o kotach. Cóż pozostało jeszcze do powiedzenia? Jaka część dzieła nie została dopełniona? Poeta pokazał smutek i brzydotę starzejącej się kultury, doradzał sposoby ratunku, modlił się i uśmiechał, ale nie rozważał dotąd (albo rozważał tylko ułamkowo, ubocznie) swego intymnego stosunku do rzeczywistości. Teraz, gdy nadchodzi starość, świadomie odwraca się wstecz, raz jeszcze ogląda przebytą drogę i postanawia wyciągnąć wnioski.

Poematy, wchodzące w skład „Czterech kwartetów” (wydane jako całość po raz pierwszy w 1944 r.) powstawały w ciągu wielu lat. Najwcześniejszy z nich „Burnt Norton” był nawet włączony do „Poematów zebranych” (1908-1935). Stanowią one jednak całość wyjątkowo zwartą. Dwa motta, w które zaopatrzone był pierwotnie pierwszy z poematów, służą jako otwarcie całości.

Oba one pochodzą z Heraklita: „Trzeba iść za tym co wspólne, ale choć słowo jest wspólne, żyje tłum tak jakby miał specjalną mądrość”. „Droga do góry i na dół jest ta sama.”

Bo też „Cztery kwartety”, to nie tylko poetycki wykład światopoglądu filozoficznego Eliota, ale również jakby szeroki wykład — komentarz pozostałych po Heraklitie fragmentów jego dzieła. Ogromna i dżwina jest rola Wielkiego Efezejskiego w dziejach myśli europejskiej. Wpływał na wszystkich niemal filozofów greckich starożytności, a pierwsze

wieki myśli chrześcijańskiej noszą na sobie wyraźnie jego piętno. Kochali go i czcili poeci, a filozofowie — często zwalczając — czerpali zeń chętnie (najsławniejszym przykładem Plato). W naszych czasach oddał mu sprawiedliwość i złożył hołd Nietzsche, a Henryk Bergson tak wiele mu zawdzięczał, że... wolał o tym nie wspominać.

T. S. Eliot nie tylko światopogląd swój kształtował w oparciu o Heraklita, ale nawet w kształtowaniu swej techniki poetyckiej wiele mu zawdzięcza. Tak częste u niego sprzeczności sprowadzane do jedności, używane konsekwentnie jak przenośnia, czy porównanie — właśnie u efezyjskiego mędrca mają swoje źródło:

„Na nieruchomym punkcie obracającego się świata. Ani mięso ani beźmięśność
Ani z ani ku; na martwym punkcie, gdzie jest taniec,
Ale ani zatrzymanie ani ruch. I nie nazywaj tego trwałością,
Gdzie przeszłość i przyszłość spotykają się. Ani ruch z ani ku,
Ani wstępowanie ani zstępowanie. Z wyjątkiem punktu, nieruchomego punktu
Gdzie nie byłoby tańca, gdzie jest tylko taniec.”

(„Burnt Norton”)

„I to, czego nie wiesz jest jedyną rzeczą, którą wiesz,
I to co posiadasz jest tym, czego nie posiadasz...”

(„East Coker”)

Zresztą poeta czerpie często swoje przeciwieństwa bezpośrednio od „Płaczącego filozofa” (jak nazywają Heraklita Lucjan czy Diogenes Laertes) nie zaznaczając nawet ich źródła, włączając je — jak w „Ziemii jałowej” Shakespeare’a — w nurt swego poematu.

Heraklit swym n’esiłuchanie „nowoczesnym” ujęciem rzeczywistości, swą „mową ciemną”, pełną sprzeczności i zawiłą doskonałe odpowiada potrzebom, tęsknotom i lękom naszego czasu. Ale szczególnie bliskim wydać się musiał poecie i to właśnie poecie

BIBLIOTEKA POLSKA

SUBSKRYPCJA NA GRUDZIEŃ 1957 R.

JAN KUCHARZEWSKI

OD BIAŁEGO CARATU DO CZERWONEGO

TOM PREMIOWY

Dokonany przez autora przed śmiercią skrót epokowego siedmiotomowego dzieła o Rosji i komunizmie czyli o nieprzerwanej ciągłości despotyzmu i imperializmu moskiewskiego.

Cena w prenumeracji do 31 grudnia 1957 r. (wraz z przesyłką):

dla stałych prenumeratorów szyl. 15/6; dol. 2.50; fr. fr. 930.

dla jednorazowych subskrybentów szyl. 21/6; dol. 3.25; fr. fr. 1290.

Po ukazaniu się tomu cena w księgarniach wynosić będzie (z przesyłką) szyl. 30/-; dol. 5; fr. fr. 1800.

ZAMOWIENIA DO:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.

tego rodzaju i miary co Eliot. Fragmenty Heraklita zawierają bowiem w zarysach program reform, jakie Eliot wprowadził zarówno w treści jak i w formie dziesięcioletniej poezji.

„Mistrz, którego wyrocznia jest w Delfach, nie mówi (wyraźnie) ani nie ukrywa (myśli) ale zaznacza”. O to wyrażona w pięknej formie zasada otwierania możliwości współtwórczych czytelnikom. Nie zapominajmy, że bogiem wyroczni w Delfach był Apollo.

Heraklit uważał, że „Harmonia ukryta znaczy więcej niż widziana, „co można by przyjąć za motto całej nowoczesnej poezji, a zdanie: „Większość nie zastanawia się nad faktami, które napotyka, nie rozumieją oni nawet, gdy zostali pouczeni, ale jedynie kierują się wyobraźnią” — mogłoby służyć za określenie ogromnej większości tych, którzy mówią, a często piszą o Elocie, szczególnie gdybyśmy je uzupełnili uwagą: „złymi świadkami są oczy i uszy ludzi o sercach barbarzyńców”.

Wreszcie zestawmy zdanie, którym zaczyna się „East Coker”: „W moim początku jest mój koniec” (i jego odwrócenie w zakończeniu poematu) z Heraklitowym: „Na obwodzie koła początek styka się z końcem”.

Heraklit jest — jak to zauważył T. Sinto — pracownikiem filmu. Otóż na „filmową” technikę twórczości Eliota zwrócono już dawno uwagę.

Ewolucja techniki pisania była u Eliota ściśle dyktowana ewolucją treści jego twórczości. Ten wielki odnowiciel formy nigdy nie był jej bałwochwalcą i wydać się może dziwne, że najwidoczniejszy — i ogromny — jego wpływ na poezję anglosaską ostatniego ćwierćwiecza, to właśnie wpływ w dziedzinie formy. Rozwiązanie problemu leży zapewne w tym, że Eliot zachowywał właściwy stosunek między treścią a formą, tj. kształtował formę według potrzeb treści, pamiętając, że jednym z kardynalnych prawdzianów wartości formalnych jest ich celowość. Od początku swojej twórczej drogi zwalczał zadawniony zabobon o istnieniu tematów, zwrotów, wreszcie słów „poetyckich” i „niepoetyckich”. Dział skłonny jesteśmy bagatelizować tę walkę. Aby docenić jej znaczenie, trzeba zbadać sytuację w tej dziedzinie w okresie poprzedzającym pierwszą Wielką Wojnę. Eliot rozszerzył język poetycki dając prawo obywatelstwa nie tylko słowom z zakresu techniki, ale i słowom-kumoszkom, językowi londyńskiej ulicy i szynku. Połowa części II „Ziemi jałowej” jest napisana tą właśnie uliczną gwarą, czy raczej żargonem. Powszednie i — zdawałoby się — prozaiczne sprawy człowieka znalazły dla siebie miejsce w chórach „Opoki” (przykładowo: tylne siedelko na motocyklu). Walka ta nie jest przypadkowa. Jałowość cywilizacji schyłkowych przejawia się m.in. skostnieniem języka literackiego. Poeta chce ten język ratować i walczy o jego żywotność i chłonność.

W związku z tą walką o przestrzeń dla poezji zaszło zjawisko paradoksalne. Eliot, piszący prostym językiem o zjawiskach życia, został uznany za ciemnego i trudnego przez ludzi, którzy przyzwyczaili się do poezji pisanej zawiłymi ozdobiakami i głośno podkreślanym wzruszeniem. Być może nie to jednak przez wiele lat odstraszało od niego „miłośników poezji”. Poezja, do której przywykli, była łatwa, gdyż nie wymagała twórczej współpracy czytelnika. Była to poezja gotowa do przekłnięcia. Eliot, ograniczając się do pokazywania starannie dobranych i po mistrzowsku narysowanych obrazów, wymaga od czytelnika wyjątkowej współpracy. Wobec tego ludzie, którzy szukają w poezji

PRZEWIELEBNEMU DUCHOWIENSTWU,

WIELCE SZANOWNYM KLIENTOM I ZNAJOMYM —

TĄ DROGĄ SKŁADAM NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE I POMYŚLNEGO NOWEGO ROKU

WŁAŚCICIEL APTEKI W LONDYNIE

MGR M. B. GRABOWSKI

odpoczynku „pogodnej siesty” odchodzą zawiadzeni. Znalazłszy zamiast siesty wezwanie do współtwórczego trudu, twierdzą, że nie znaleźli poezji, gdyż wymyka się ona definicjom, których nauczono ich w szkole.

Współpraca, której poeta od swych czytelników oczekuje, sprowadza się w dużej mierze do widzenia rzeczywistości. Ale widzenia uintensywnionego i pełniejszego niż na co dzień. Sprzyja temu naśladownictwo poezji Eliota znaczeniami. Wiele znaczeń — to oczywiście co innego niż wieloznaczność: w pierwszym wypadku ten sam obraz równocześnie znaczy A i B, w drugim: A czy B. Nie jest konieczne dla właściwego reagowania na poezję rozumienie wszystkich znaczeń. Wystarczy — jeśli wierzyć Eliotowi — świadomość, że te znaczenia istnieją. „...A jasne obrazy zyskują o wiele większą intensywność, gdy posiadają znaczenie — nie potrzebujemy wiedzieć jakie jest to znaczenie, ale w naszej świadomości obrazu musimy zdawać sobie sprawę, że znaczenie istnieje” — mówi on w szkicu o Dancem. Można by się posunąć dalej i powiedzieć, że owa świadomość stanowi kierunek dostateczny w stosunku czytelnika do twórcy, zakłada ona bowiem istnienie współwyczuwania rzeczywistości.

Jest zapewne niemożliwe odtworzyć intymną rzeczywistość, w której tworzy poeta — w tłumaczeniu. Dlatego nawet przy słabej znajomości angielskiego warto zapoznać się z utworami Eliota w oryginałach. Sam on dał nam co do tego wskazówkę w cytowanym już szkicu o Dancem, wyznając: „Namiętnie kochałem niektóre francuskie utwory poetyckie na długo przedtem nim mogłem dwa wiersze z nich przetłumaczyć prawidłowo. Gdy idzie o Dancem, rozbieżność między przyjemnością a zrozumieniem była jeszcze szersza”.

Szczególnie w wypadku poezji tak świadomie opartej na tradycji kulturalnej, wydaje się niemal niemożliwe uchwycić w tłumaczeniu nie tylko jej piękno, ale nawet właściwy sens. Tworzywo wiersza bowiem jest czymś znacznie delikatniejszym od słów (które byłoby stosunkowo łatwo przetłumaczyć). Składają się na nie bowiem asocjacje słów i ich

konjunkcje — przestrzenie międzywyrazowe, w duchowym znaczeniu tego słowa. Częściowe choćby przeniknięcie znaczeń obrazów i sposobu kojarzenia ważniejsze jest niż zapoznanie z najściślejszym choćby tłumaczeniem tekstu. Z łatwością może się zdarzyć, że ktoś ukształcony w podobnej tradycji kulturalnej co Eliot zauważy, iż naprzykład „Ziemia jałowa”, która wydała mu się w przekładzie sztywna i dziwna, czytana po angielsku choćby bardzo kulawo — nabierze soczystości, znaczenia i piękna.

Poeta, który przez całe życie był ironiczny i gwałtowny w „Czterech kwartetach” porzuci drwinę i skłania się raczej ku namysłowi:

„Gdy ktoś się starzeje, dziwnieje
Świat i bardziej skomplikowanym
staje się wzór
Śmierci i życia”.

Świadomość starości wraca często w tych poematach — najbardziej z całej twórczości poety osobistych. Jest ona jakby refrenem. Eliot, rozważając drogę swego życia i twórczości, zauważa z nadmierną chyba skromnością: „Dla nas pozostaje tylko próbować. Reszta nie jest naszą sprawą.”

Wielki wpływ jaki wywarła na kształtowanie się dzisiejszej poezji i pojmowanie poezji nie da się jeszcze ocenić w całości. Dla nas, którzy rozdzieliliśmy się z „Ziemią jałową”, w latach „Pustych ludzi” jest to poezja nas samych. Trudno w stosunku do samego siebie być sprawiedliwym. Poezja ta przenika naszą rzeczywistość i jest nią przeniknięta. Ale choć celnie opisuje nieład czasu, sama stanowi wcielenie ładu i rozwija się harmonijnie jak wielka, artystyczna całość:

„W moim końcu jest mój początek” można by ją określić słowami jej twórcy. Zdaje się, że powie ona o nas kiedyś więcej niż roczniki gazet i pamiętniki mężów stanu. Powie „całą prawdę”. Ową specyficzną prawdę, dostępną właśnie poetom, której zdolność wypowiedzenia Aldons Huxley tak słusznie przypisuje Homerowi.

Mieczysław Paszkiewicz

PROZA WŁOSKA

Przełożył S. A. PIEKUT

W ramach Biblioteki Polskiej, w r. 1958 ukaże się ANTOLOGIA PROZY WŁOSKIEJ. Poniżej zamieszczamy dwie nowele z tego zbioru opowiadań i fragmentów powieściowych.

PIES

Dziesięcioletni pomyślnego poranku spotkałem psa nad brzegiem morza.

Na piasku siedziało trzech wieśniaków, obok nich leżały kosze, trzewiki, parasol, rzeczy, które stanowią ciężar w podróży.

Naprzeciw nich siedział pies, z łapami w wodzie, nieruchomy i patrzył w dal morską poprzez druty kagańca jak więzień.

Idąc i ja bosy, po wodzie, popatrzyłam na niego, lubię bowiem patrzeć zwierzętom w oczy bardziej niż ludziom, którzy kłamią.

Wielkie psisko odpowiedziało na moje wejście: miał oczy miłe i zielone, a wygląd młody i szczery: grzbiet zaś wysoki i stary z brunatnymi centkami jakby mapa.

Natychmiast zrozumiał mój dobry nastrój duchowy, bo ładna była pogoda, a morze spokojne, więc poszedł za mną.

Za sobą, z tyłu, czułam jego stąpanie po wodzie, podobne do stąpania dziecka; dopędził mnie i dotknął lekko głową jakby mię powiadomił, że jest obok i że prosi o pozwolenie towarzyszenia mi.

Odwróciłam się, poglaskałam go po aksamiitnej głowie; i natychmiast poczułam, że i ja mam nareszcie na świecie przyjaciela.

On także zdawał się być zadowolony z tej nowości; i ozięziało stał się lekki, wybiegł przede mną, tańcząc po wodzie, skąd spomiędzy mnóstwa światła — wynurzały się jego czyste łapy; od czasu do czasu zatrzymywał się czekając na mnie i odwracał się, by zobaczyć, czy jestem z niego zadowolona.

Jego spojrzenie było szczęśliwe, podobnie jak przypuszczam, że i moje: oboje zapomnieliśmy wiele rzeczy.

Trzecię była morze, które nam towarzyszyło w tym pięknym spacerze i ono także usmierzono po tym gniewie, który tak często je wzburza, lecz nie tak często jak nas. A fale bawiły się naszymi stopami.

Wreszcie także i tarca słoneczna, w wilegotnym zwierciadle morza, uparcie nas wyprzedzała nie pozwalając się ani dogonić ani na się patrzeć.

Minęli nas dwaj młodzieńcy trzymając za ręce — jakby amforę — małe blond dziewczę; potem nikt więcej.

Tak w końcu zasłiznęliśmy aż na miejsce odległe, na cmentarzysto muszli; muszle leżały martwe, rozsiane jak kości na pobojowisku.

Wydawało mi się, że jestem na krańcach ziemi, dokąd człowiek nie dochodzi; jedynie ślad po ptakach, na dziewiczej wyspie, wskazywały długie serpentyny kosów.

Człowiek tu nie dochodzi; a jednak jest obawa, by kogoś nie spotkać: trzeba zawrócić wstecz, gdzie jest wielu i gdzie jeden źle patrzy na drugiego.

Ale pies na swój rachunek biegnie naprzód, nawet skacze po ziemi, tarza się w piasku, bawi się patykami, wyciąga się nagim, drzącym brzuchem do góry łapami, które zdaje się, że chcą pochwytać niebo.

Mam wrażenie, że już zapominał o mnie i pragnie pozostać sam ze swoją szaleńczą radością wolności; bawiłam się jak zwykle moją fantazją wierząc, że mnie rozumie.

I zawróciłam sama, wstecz; ale gdy postą-

piłam kilka kroków, usłyszałam galopowanie po wodzie: pies dopędził mnie, wyprzedził i bez zatrzymania odwrócił się patrząc na mnie; nigdy nie widziałam spojrzenia bardziej błagalnego.

— Nie opuszczaj mnie — mówiło to spojrzenie: — jeśli chcesz, pójde z tobą, nawet cię wyprzedzę, by ci ułatwić pewny chód i przybyć pierwszy, gdzie ty zamierzasz udać się.

Ten pies jest więc moim: jeśli nie należy do któregoś z wieśniaków, na pewno jest moim: i chcę go zabrać; będzie mi strzegł ogrodu, a w chwilach samotności siądziemy razem w cieniu drzewa, zadowolony z naszej przyjaźni. Będzie mi strzegł także domu.

Tak myślę; bo ze skromnych pomysłów rodzą się nasze zamiary jak z pięknych kwiatów nasiona.

Teraz pies szedł obok mnie mierząc swój krok z moim: czasem zatrzymywał się, obwachiwał krzewy, potem patrzył na morze poruszając uszami: bez wątpienia szukał czegoś, w miarę jak wracaliśmy. Kiedy jednak głaskałam go po głowie, podnosił oczy i przyobiecował mi wierność.

Gdy przybył na miejsce, gdzie znajdowali się wieśniacy, zatrzymał się, nieruchomy, z nogami w wodzie, z oczyma utkwionymi w dół morską, poprzez druty kagańca. Zdawał się jęknąć, który powrócił do więzienia po krótkiej ucieczce.

— To wasz? — zapytałam chłopów.

— Nie, paniusiu; sądziłśmy, że to pani. Widocznie zgubił właściciela.

Nie chciał iść za mną, jakkolwiek nakłaniałam go: bo obecnie nie chodziło już o zabawę. Tu zgubił właściciela i tu pozostał, by go oczekiwać.

Wielu rzeczy nauczyłeś ty mnie dzisiaj, o wielki psie o zielonych oczach, które umieją także kłamać jak ludzkie.

A nade wszystko nauczyłeś mnie, że należy zatrzymać się tam, gdzie zbłądziliśmy, a bawić się tylko iluzjami, co przemijają, oczekując aż przyjdzie nasz jedyny pan, nasze sumienie, by nas ponownie zabrać.

GRAZIA DELEDDA (1871 - 1936)



LUDZIE UBODZY

Pewnego wieczoru gospodarz Parrino patrzył na niebo, które zdawało się zapowiadać burzę, spuścił na morze swoją małą barkę razem z siością. Zoną jego, razem z trojgiem dziatwy, towarzyszyła mu aż do brzegu. Tam pocałował małeństwa i położywszy rękę na plecach żony powiedział, że chyba burzy nie będzie: Pan Bóg wie, że musimy dać jeszcze temu niewinnym. Potem wziął wiosło, a po chwili znowu wrócił się ku niej dodekając: — Ach! Rozalio, nie zapomnij... idź także zobaczyć tę biedną Karmelę.

Noc zapadła wkrótce. Dać dzieciom kolację, rozebrać je, położyć do łóżka: Matko Boska! Ileż to spraw! A ta biedna, chora wdowa, razem z dwójgiem dzieci, w swojej

chałupinie, kto wie jak ją oczekiwała. Tymczasem poczył dąć wiatr, a jej Parrino znajdował się na morzu. Dobra żona wykonała przedziutko, przedziutko wszystko co do niej należało, potem zamknęła dom i wyszła. Zaledwie znalazła się na dworze, mała brakowała, by jej wicher nie powalił na ziemię. Morze już huczało potężnie, a niebo polyskiwało złowrogo: Rozalia bała się sama siebie, ale ze ściśniętym sercem rzuciła się naprzód, instynktownie. O Matko, Gwiazdo Morska!

— modliła się wewnątrz i tak, idąc po ciemku, przybyła do chałupiny Karmeli. Znalazła drzwi otwarte; weszła; światelko, tłące się obok Matki Boskiej, rzucało nieco blasku, więc zobaczyła jak jedno z dzieci: wspięło się na łóżko matki i patrzyło na nią. — Karmela, popatrz jak ci się przypatruje twoje dziecko! Przynieś ci zdrowie! — Karmela milczała. — Czy śpi? — pomyślała sobie Rozalia i położyła rękę na jej czole. Zdawało się z marmuru. — Biedny dzieciuszek, niewiniątko, co robisz! Nie budź! Nie budź mamusi! — rzekła wtedy dobra kobiecina, trzęsąc się i zdając się do łóżka. Malec począł wreszczać, wówczas drugi, który spał na ziemi, zbudził się również, poczynając płakać. — Cicho — mówiła Rozalia przyciskając je do piersi — bądźcie cicho, bo się zbudzi mama! — A mówiąc to czuła gorzyc swoich słów i wyrzuty sumienia, jaż ktoś, kto oszukuje niewinnych. Co robić? Wolać ludzi? Wokół nie było nikogo; grzmoty raz po raz się powtarzały, na morzu szalała burza, w domu może wzywały ją dzieci, a zmarła nie potrzebowała już niczego. Lecz tych dwoje dzieci należało stąd zabrać. W głowie Rozalii było jak młotem. Nagle przeżegnała się, przykryła szmatą twarz zmarłej, wzięła dwoje dzieci na ręce i wyszła, zdając się na wolę Bożą. Kiedy znalazła się w swoim domu i położyła obydwa malce obok swoich, wtedy mogła zatrzymać się we drzwiach i popatrzeć na dwór; zdawało się jej, że zaczyna się uspokajać. Dlaczego ma być burza wtedy, kiedy rybak znajduje się na morzu, a na ładzie jego żona mężczy się wykonując dobry uczynek?

Mijały godziny a dzieci spały. Rozalia nie... Przed świtem powrócił do domu gospodarz Parrino i zastał ją na nogach.

— Słyszałaś co za noc? — rzekł Parrino — Ocalałam, ponieważ ty i dzieci żyjecie na świecie, ale ręce już były bezwładne. — I przemęczony usiadł patrząc na ziemię i myśląc, że jutro nie byłoby nic do jedzenia.

— Ach! — podjął po chwili, może dlatego iż myślał, że na świecie nie ma biedniejszych od niego; — A czy byłaś u Karmeli?

— Tak — trwożliwie odparła Rozalia — umarła.

— Dlaczego drży ci głos?

— Tym biedactwom brakuje nawet matki!

— Prawda! — rzekł Parrino, patrząc swojej żonie w oczy i drapając się po czole — tak... nie mają matki... Gdyby nie... A e my już mamy troje swoich... brakuje ci eba... A jednak! Czy nasze śpią? Ach! Rozalio, wyjdź, pójdziemy zabrać te biedne małeństwa i przyniesiemy je tutaj!

Rozalia uczuła ulgę na sercu, wzięła męża za rękę, przywiodła go do łóżka i odparła: — Popatrz! są już tutaj.

— Święta kobieto! — wykrzyknął Parrino — ty z twoim sercem zmusisz Pana Boga, aby pamiętał o nas!

I zatrzymali dwoje dzieci, aby mieć pięcioro, razem ze swoimi; takich to rzeczy dokonują czasem biedni ludzie.

GIUSEPPE CESARE ABBA (1838 - 1910)

POLITYCZNY ADWENT NIEMIEC

(Korespondencja z Bonn)

Kościół obu wyznań w Niemczech obchodzą adwent chyba bardziej jeszcze uroczysto niż w Polsce. Nastrojów świątecznych przejawia się od pierwszej niedzieli adwentu, od zapalenia pierwszej świecy na wieńcu adwentowym i wszystkim udziela się w domu i na ulicach. Wieczorami w miastach pełno świetlnych iluminacji, witryny sklepów wypełnione są wystawami gwiazdkowymi, a z głośników radiowych rozbrzmiewają pierwsze koledy, wśród nich zaś — oczywiście — nastrojowa koleda tyrolska „Stille Nacht...”. Gdy w kościołach niemieckich panuje w czasie adwentu nastroj powagi i skupienia, na zewnątrz dominuje już od pierwszej niedzieli adwentowej atmosfera pogody i radości świątecznej.

W Bonn, „prowizorycznej” stolicy Niemieckiej Republiki Federalnej, gdzie przeżywałem tegoroczny początek adwentu, panował jednak w kołach politycznych nastroj raczej poważny, jeśli nawet nie ponury. Przyczyniła się do tego nie tylko sytuacja polityczna ostatnich tygodni, ale przede wszystkim dwie wiadomości, wysunięte na czoło sobotnich „newsów” radiowych: „uspokajający” komunikat o stanie zdrowia prezydenta Eisenhowera i obchodząca Niemców jeszcze bardziej wiadomość o grypie osiemdziesięcioletniego kanclerza. Zapowiedziana na dni następne wizyta jego w Londynie została odwołana a udział jego w paryskiej konferencji NATO jest wątpliwy. Wprawdzie stan zdrowia kanclerza szybko się poprawił, lecz oba komunikaty wstrząsnęły polityczną opinią Niemiec. Z nazwiskami obu sędziwych pacjentów łączy się bowiem ściśle linia niemieckiej polityki zagranicznej, której miliony Niemców zaledwie trzy miesiące temu udzieliły wotum zaufania. Silniej aniżeli kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat, pojawiły się w tych dniach adwentu w niemieckich kołach politycznych powątpiewania co do tego, czy obrona droga jest właściwa, a szczególnie czy może być skuteczna, czy może w konsekwencji dać Niemcom „die Wiedervereinigung in Freiheit und Frieden” — zjednoczenie drogą pokojową przy zachowaniu wszystkich elementów zachodnio pojmowanej wolności.

Budzenie się pierwszej wątpliwości nastąpiło po starcie pierwszego „sputnika”. Wzniesienie się w przestworza po kilku tygodniach drugiego satelity sowieckiego zaczęło uświadamiać Niemcom fakt — być może chwilowej — lecz w każdym razie poważnej sowieckiej w dziedzinie badań technicznych i naprowadzać ich na smutne reminiscencje czasów przedwojennych i wojennych, kiedy niedocenianie siły przeciwnika doprowadziło do totalnej katastrofy. Ale znaczący większy efekt psychologiczny wywarła ujawniona w tym samym czasie świadomość dotkliwych rys, jakie wykazuje zachodni system obrony. Istniejąca od szeregu lat NATO, uważana jako symbol nienaruszalnej siły i bezpieczeństwa Niemiec — podobnie jak „linia Maginota” w przedwojennej Francji — okazuje się nagle tylko fasadą, za którą zamiast skoordynowanej współpracy i skutecznego systemu obrony ukrywa się psychiczna niemoc, spowodowana sprzecznymi egoistycznymi interesami poszczególnych partnerów. Zbyt wiele nagromadziło się w tych ostatnich tygodniach dowodów słabej spójności wewnętrznej NATO, by ujawnienie

tego stanu rzeczy nie musiało wywołać niepokojących obiekcyj na temat dalszych losów „polityki siły”. Rok temu miało miejsce silne napięcie pomiędzy Stanami a Francją i Anglią w związku z wyprawą sueską. Ostatnio powstał konflikt pomiędzy Francją z jednej a Ameryką i Anglią z drugiej strony na skutek dostarczania przez Anglosasów broni do Tunisu. Jednocześnie zarysowała się wyraźna różnica zdań pomiędzy Niemcami a Anglią w sprawie płacenia przez Niemców kosztów utrzymania dywizji brytyjskich w NRF. Sprzeczność poglądów i interesów pomiędzy poszczególnymi partnerami paktu atlantyckiego wyraża się ponadto w odmowie skandynawskich partnerów NATO udzielenia zgody na stacjonowanie na ich obszarze broni atomowej i wodorowej, a także i w poważnych wątpliwościach, jakie sprawa tej nowoczesnej broni wywołuje w opinii niemieckiej. Dodajmy do tych kilku wymienionych przykładów rozbieżności i ten fakt, że i w innych krajach istnieje znaczna różnica zdań co do polityki NATO, a szczególnie co do roli, jaką w jej ramach wyznacza się Niemieckiej Republice Federalnej, a mamy n.e. bardzo pocieszający bilans psychicznego przygotowania obronnego zachodu.

Fakty wymienione narastały od dłuższego czasu, ale dopiero ostatnie wydarzenia pociągnęły za sobą rodzaj szoku, który wstrząsnął opinią niemiecką i nie pozostaje bez wpływu nawet na postawę i oficjalnych kół niemieckich. Przemówienie byłego ambasadora amerykańskiego w Moskwie, Kennana i publicystyczne wywody oksfordzkiego profesora Taylora znalazły na łamach prasy niemieckiej oddźwięk bardzo szeroki. Niemniej — i to właśnie wywołały opinie, wypowiedziane przez A. Bevana, ministra spraw zagranicznych Anglii, na wypadek dojścia do władzy labourystów. Poważny stan zdrowia Eisenhowera i spekulacje co do możliwości objęcia w przyszłej kadencji rządów w Ameryce przez demokratów oraz świadomość, że jedynym bezkompromisowym rzecznikiem polityki NATO jest w NRF 82-letni kanclerz Adenauer, unaocznia Niemcom możliwość, że wcześniej czy później nastąpić może zasadnicza zmiana polityki amerykańskiej i że w tym wypadku Niemcy wymanewrowane być mogą w sytuacji, w której dwa dni decydującego mocarstwa świata mogą się porozumieć kosztem Europy, co w opinii niemieckiej uważane byłoby za porozumienie kosztem przede wszystkim Niemiec, kosztem obecnego status quo, dziającego Niemcy na dwa państwa.

Oficjalna polityka Bonn broni oczywiście niezachwianie doktryny atlantyckiej, uważając, że jedynie nieustępliwa „polityka siły” wydać może czy musi prędzej czy później owoce w postaci ustępliwości Rosji i tym samym otworzyć drzwi prowadzące do zjednoczenia Niemiec. Wydarzenia ostatnich tygodni zintensyfikowały jednak znacznie aktywność opozycji socjaldemokratycznej i dostarczyły argumentów, dzięki którym — jeszcze w czasie wyborów wrześniowych dość nieprzekonywująco brzmiała „alternatywa” polityki zagranicznej nabrała wyraźniejszego profilu i stała się przedmiotem poważniejszych rozważań nie tylko wśród własnych zwolenników czy ludzi niezdecydowanych, ale

i w niektórych ośrodkach stronnictw rządowych.

Duże wrażenie wywołała z związku z tym konferencja prasowa, jaką w przededniu adwentu odbyli dwaj czołowi politycy socjaldemokratyczni: Carlo Schmid i Erler, reprezentanci niemarksistowskiego odłamu socjalistów niemieckich, którzy ostatnio wysuwają się coraz wyraźniej na czoło decydującego ośrodka dyspozycyjnego SPD. Obaj mówcy podkreślili przede wszystkim raz jeszcze obawy co do niebezpieczeństwa wojny, jaką wyścig zbrojeń za sobą pociągnąć może. Z tego powodu uznali kontynuowanie rozmów rozbrojeniowych za rzecz konieczną. W związku z tym wysunęli dość sensacyjny postulat: Jeśli dotychczasowa metoda rozbrojenia nie daje rezultatu, nie należałoby się lękać bezpośrednich rozmów amerykańsko-rosyjskich w sprawie przede wszystkim rozbrojenia atomowego. Schmid i Erler poszli jeszcze jeden krok dalej, żądając wyraźnie takich rozmów, nawet gdyby one prowadzone być miały ponad głowami europejskich partnerów NATO. Wysunęła przez warszawskiego ministra spraw zagranicznych koncepcja stworzenia w Europie strefy wolnej od broni atomowej mogłaby — zdaniem polityków socjaldemokratycznych — stanowić punkt zaczepny do osiągnięcia pierwszego rezultatu w zakresie rozbrojenia. Schmid i Erler nie upierają się także przy podtrzymaniu tezy o junctum pomiędzy rozbrojeniem a sprawą zjednoczenia Niemiec, uważając, że nie należy rozmów obciążać postulatami, których realizacja możliwa byłaby dopiero w wyniku długiego procesu odprężania się wzajemnych stosunków. Koncepcja neutralizacji środkowej Europy, tj. Niemiec, Polski, Węgier i Czechosłowacji, wysuwana z takimi czy innymi odwołaniami przez Gaitskella, Kennana i Bevana nie była wprawdzie wyraźnie cytowana na powyższej konferencji, ale z toku wywodów mówców wynikało, że pójsie po linii ich rozumowania mogłoby z czasem doprowadzić do takiego właśnie układu stosunków w środkowej Europie. Skoro przypomniemy w tym miejscu wywody Carlo Schmid, wypowiedziane rok temu w sprawie granicy naszej na Odrze i Nysie, nie trudno się domyślić, że w treści ich „alternatywy” mieści się nie wypowiedziana wprawdzie, ale w świadomości ich nieunikniona zgoda niemiecka na uznanie tej granicy.

Polityka rządu w Bonn trzyma się więc nadal linii NATO, rozwijając niezwykle aktywność w kierunku skoordynowania sprzecznych interesów poszczególnych partnerów europejskich. Znamienne było jednak, że rzecznik rządu w Bonn nie usiłował polemizować z koncepcją socjaldemokratyczną, wyrażając nawet pogląd, że wysondowanie, czy bezpośrednie rozmowy amerykańsko-rosyjskie miałyby szanse powodzenia, mogłoby być rzeczą pożyteczną.

Na tym tle zwrócić należy także uwagę na widoczne usiłowania pewnych kół chrześcijańsko-demokratycznych do szukania — mimo przygniatającego zwycięstwa wyborczego — kontaktu z socjalistami i dzielenia się z nimi odpowiedzialnością na pewnych odcinkach polityki państwowej. Dotyczy to przede wszystkim odcinka polityki zagranicznej, a wyrazem tych tendencji jest m. in. w atmosferze „rzeczowej” przeprowadzona rozmowa kanclerza Adenauera z prezesem SPD Ollenhauerem i dłuższa konferencja na temat niemieckiej polityki zbrojeniowej, odbyta przez ministra obrony Straussa ze Schmidem i Erlerem.

Do tej samej kategorii „gestów zbliżenia się do opozycji” zaliczyć także należy zastą-

pienie dotychczasowej koalicji antysocjalistycznej w Dolnych Sasach — nowym rządem, mającym oparcie o chrześcijańskich demokratów, socjalistów i konserwatywną Partię Niemiecką. Polityka ta ma w kołach CDU nie tylko zwolenników, ale i przeciwników.

W związku z tym wielce komentowana była w kołach politycznych Bonn likwidacja długiego sporu w sprawie objęcia przewodnictwa w komisji spraw ogólnoniemieckich parlamentu przez eksponowanego socjalistę radykalnego Wehnera. Z powodu obrażenia przez niego ministra spraw wewnętrznych Schroedera, (któremu Wehner zarzucił z trybunu parlamentarnej posługiwanie się metodami osławionego Wyszyńskiego z Moskwy), posłowie CDU opuścili kilka miesięcy temu demonstracyjnie komisję spraw ogólnoniemieckich i wzbranił się brać udział w jej pracach dopóty, dopóki przewodnictwo jej spoczywać będzie nadal w rękach Wehnera. Po wyborach wysunęli socjaliści ponownie Wehnera i pomiędzy przewodniczącymi frakcji parlamentarnej CDU i SPD doszło do porozumienia, na zasadzie którego Wehner wysłał do Schroedera list przeproszący, CDU natomiast postanowiła głosować za ponowną kandydaturą Wehnera. Kiedy frakcja CDU miała zaaprobować ten układ, wypowiedziała się grupa oponentów z Adenauera na czele przeciwko wyborowi Wehnera. Większość jednak, z ministrem Lemmerem i przewodniczącym frakcji Kronesem, postanowiła głosować za Wehnerem. Tenże został też następnie większością głosów wybrany ponownie przewodniczącym komisji spraw ogólnoniemieckich.

Przykłady powyżej przytoczone świadczą o panujących — jeśli nie w całej CDU — to co najmniej we wpłyowych odłamach stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego tendencjach zbliżenia się do opozycji. Istotnym powodem i celem tego zbliżenia się jest świadomość, że kryzys NATO pociągnąć może za sobą daleko idące konsekwencje dla Niemiec, że interes niemiecki wymagać może znacznie bardziej elastycznego aniżeli dotychczas ustosunkowania się do konfliktu Wschód - Zachód i że ewentualna zmiana kierunku polityki opierać się winna na możliwie jak najszerszej bazie partyjnej.

To wszystko są na razie jednak tylko symptomy odległego jeszcze procesu, którego rozwój zależeć będzie przede wszystkim od decyzji wielkich mocarstw, w pierwszym rzędzie od Ameryki. Cechą charakterystyczną „alternatywy” polityki zagranicznej, reprezentowanej obecnie przez socjaldemokrację, jest bardzo wyraźne podkreślenie, że — cokolwiek Niemcy postanowią — każda decyzja powzięta zostanie w porozumieniu z Ameryką. Zasadniczy zwrot o 180 stopni poza plecami dzisiejszego sojusznika nie leży w zamiarach Niemiec i w obecnym układzie sił na pewno nie nastąpi.

Stan ten u'eć może — rzecz prosta — zmianie, gdyby również i dążenie do rozwiązania kwestii niemieckiej w płaszczyźnie neutralizacji okazało się tak samo bezskuteczne, jak wieloletnie trzymanie się linii NATO. Na razie liczyć się trzeba ze strony Niemiec z postawą wyczekiwania, obserwowania posunięć wielkich mocarstw i badania reakcji rosyjskich na ewentualne balony próbne. Adwent polityki w Bonn potrwa bardzo długo. W czasie zaś jego trwania nie należy także oczekiwać jakiegokolwiek wyraźniejszych posunięć pod adresem Polski.

St. Czechanowski

REFLEKSJE

FILOZOFIA ŚWIATŁA

Wyobraźmy sobie, że na ulicy powstają rozruchy. Przypuśćmy, że z powodu latarni gazowej, którą jacyś ludzie postanowili zniszczyć. Gdy zbierający się tłum wznosił zaciekle okrzyki, zbliżył się mnich w szarym habicie — jak duch średniowiecza — i chciał całą sprawę wpiwer rozważyć na sposób średniowieczny — metodycznie i od podstaw.

— Przede wszystkim (tak rozpoczął) — przede wszystkim, drodzy bracia, zastanówmy się nad naturą i znaczeniem światła. Bo jeśli światło jest samo w sobie Dobrem... Trudno się dziwić, że po takim wstępie — w takiej chwili! — otrzymał potężny cios w głowę i nie dokończywszy zdania, padł nieprzytomny na bruk. A tłum runął na znie-nawidzoną latarnię. Wkrótce metalowy słup został powalony na ziemię. Światło zgasiło się w ciemności rozległy się okrzyki triumfu. Nagle ktoś potknął się o leżące zakkonnika. Ludzie poczęli kpić z abstrakcyjnych wywodów, którymi i dziś chciał ich zanudzać w momencie, kiedy chodziło o rzecz najważniejszą: — o praktyczne działanie.

Lecz niebawem okazało się, że obalenie latarni nie było rzeczą tak bardzo praktyczną. Brakowało nawet porozumienia, w jakim właściwie celu ją obalono — i z jakiego powodu. Jedni zburzyli ją dlatego, że była latarnią gazową, a inni chcieli latarni elektrycznej. Inni dlatego, że potrzebowali starego żelaza. Jedni zburzyli latarnię, bo chcieli zburzyć cokolwiek, a drudzy, bo chcieli zniszczyć Zarząd Miejski. Jedni krzyczyli, że niszczenie latarni to jeszcze nic, bo prawdziwe rzeczy dopiero się zaczną. Inni wołali, że rzeczy niepotrzebnie zaszyły za daleko, że niszczenie było niepotrzebne i jest szkodliwe. A jeszcze inni zniszczyli latarnię dlatego, że po-

trzebowali ciemności dla swoich zamiarów. W tym stanie podniecenia, kiedy w dodatku niektórzy spostrzegli, że ich okradziono w zamieszaniu, rozgorzała zacięta walka. Ludzie zadawali i otrzymywali ciosy, lecz wśród ciemnej nocy nikt nie wiedział — kto się bije, z kim i o co. Wtedy stopniowo i coraz natarczywiej zaczęło ludziom świtać w skołatanych głowach, że... może jednak zakonnik miał rację? Ze może wszystko zależy od Filozofii Światła? Tylko że gdy przedtem można było omówić te sprawy w spokoju i chociaż przy lampie gazowej, teraz trzeba je przemysłować w popłochu, ciemnościach i zamieszaniu.

Taką — mniej więcej — alegorią kończy Chesterton swoje wywody o konieczności posiadania określonej filozofii i zdecydowanego poglądu na świat i człowieka.

Bo żeby coś z skutkiem przeprowadzić praktycznie, trzeba to przedtem rozważyć teoretycznie. Dlatego też najpraktyczniejszą rzeczą na świecie jest teoria. A o tym chrześcijanie zapomnieli już od dawna. Małodusznie ułękli się tych, którzy posiadanie zdecydowanych poglądów i określonej wizji świata wykpiwali jako nieżyłowy dogmatyzm.

I oto w pustkę tak wytworzoną z tym większą siłą weszły teorie fałszywe: za naszych czasów faszyzm i komunizm — ze skutkami, które w dzieliśmy i wciąż widzimy. Lecz sukcesy nawet tych fałszywych światopoglądów dowodzą, że nie praktyka i ludzie praktyczni, lecz teorie i filozofia rządzi światem. Dlatego sprawą najbardziej zasadniczej wagi jest, by chrześcijanin nareszcie zaczął się uczyć swojego światopoglądu: aby filozofia Błędu musiała ustąpić filozofii Światła.

jt

kimi, które chrześcijaństwo umiały przewyżyć...

A w miarę jak Akcja Katolicka zacznie pracować — wystąpi jeszcze potężniej przełomowe znaczenie pontyfikatu wielkiego papieża.

Jan Tokarski

EICHLERÓWNA W LONDYNIE

Jedna z najznakomitszych aktorek polskich, czołowa artystka Teatru Narodowego w Warszawie, Irena Eichlerówna, przyjeżdża na krótki pobyt do Londynu i wystąpi obok popularnych aktorów polskiego teatru emigracyjnego w sztuce G. B. Shawa „Profesja pani Warren”.

Eichlerówna, niezapomniana Fräulein Doktor, Sz.mena z „Cyda” i Billadyna, w czasie wojny występowała w Rio de Janeiro, odnosząc wielki sukces i była uznana przez pręgę amerykańską za jedną z najlepszych aktorek świata. Eichlerówna przechodzi wielki renesans talentu, a jej kreacje w „N'emcach” Kruc kowskiego, „Karocy” Meriego, a zwłaszcza Maria Stuart, Pani Warren i ostatnio „Fedra” Racine'a są szczytowymi osiągnięciami tej artystki.

W Londynie Eichlerówna wystąpi w Twentieth Century Theatre obok Krystyny Dygatównej, Stanisława Belskiego, Artura Butchera, Władysława Sneyba'a i Ar'olfa Bożyńskiego, który przyjeżdża z Mo'ac'ium, aby wystąpić w tym atrakcyjnym przedstawieniu.

NASTĘPNY NUMER »ZYCIA«

UKAZE SIĘ Z DATĄ 5 STYCZNIA 1958 R.

CAŁUJE-KWIAT—TAK SIĘ KOLIBR NAZYWA

Napisał JERZY KOSSOWSKI

Nie żaden poeta wymyślił nazwę na kolibra „całuje-kwiat”, lecz brazylijski lud. Tak go nazwała brazylijska poezja ludowa, a brazylijska poezja ludowa jest nie tylko bardzo ładna, ale i bogata. Oczywiście, że nie zetknie się z nią człek, co w mieście siedzi i cały dzień Boży w mrocznym magazynie albo towar sortuje, albo grosze liczy, ale człowiek żyjący w interiorze, jak się tu potocznie nazywa to, co my określamy powiedzeniem „na wsi” — styka się z nią ciągle i na każdym kroku: jedząc razem z robotnikami w polu i w południe i wieczorem słyszy się ciągle opowiadania, jak to tutaj bywało dawniej, opowiadania znakomicie upoetyzowane, pełne soczystych, bogatych określeń; pracując z nimi na plantacji słyszy się piosenki, (niezbyt zresztą ładnie śpiewane pełne słów, jakich się w gazetach nie czyta, przepłatanych stale refrenami o „amor”, „saudade” (teżknota), „flor” (kwiat), „dor” (ból), „morena” (smagła dziewczyna), „beja-flor” (kolibr-całujekw.at), „rio” (rzeka), „mar” (morze), „lagoa” (jezioro), „co-raçao” (serce), „passarinho” (ptaszek), i nawet takie słowa, jak „boi” (wół) — choć, zdawałoby się, że nio, co „wole” nie ma w sobie szczypty pceji — bo i cóż może być prozaičniejszego niż wół. Tymczasem nie: istnieje piosenka pt. „O meu boi” — „Mój wole”, bo trzeba wiedzieć, że woły odgrywają w życiu brazylijskiego rolnika olbrzymią rolę. Nie tylko jako wół-oracz, ale przede wszystkim jako zwierzę pociągowe, które ciągnie przez stepowe i leśne wertepy „caroçę, olbrzymi wóz dwukołowy, na kołach, sięgających głowy dobrego chłopca i drewnianych, skrzypiących osiach. Skrzyp tych osi jest tak głośny i tak załośliwy, że towarzysząc wędrowcowi na przesterż: setek kilometrów musi budzić melodię, pod którą układają się jakies słowa. — Kiedy pytałem raz takiego „caroçeiro”, (czyt. „Karozeiro”), poganiającego sześć par w „caroçę” zaprzężonych wołów, dlaczego nie nasmaruje tych osi, odpowiedział mi z uśmiechem politowania, jaki ma się tylko dla „estranjeiros” (zagranicznych), którzy nie nie rozumieją: — Bo by nie zgrzypały — bo by nie śpiewały!!

Ten skrzyp, niby jakies olbrzymiej liry dziadowskiej (nie wszyscy znają jej stary wiekny głos) — jest potrzebny i poganiającemu i jego wołom. Gdy wóz nie skrzypi, woły idą wolniej, niechętniej i... w duszy samotnego wędrowca jest wtedy smutniej, bo ciszej. I las wtedy milczy, a więc jest dzikszy i step jest bardziej pusty, a więc większy i droga jest dalsza. — A gdy wóz śpiewa, śpiewa, śpiewa i karozeiro — i śpiewa wtedy i o kolibrach, swoich „całujekkwiatach” przeszłych, wiecznie wesółych, wiecznie drgających w powietrzu, niby samo, rozgrzane brazylijskim upałem, powietrze.

Zacząłem o kolibrach, a zeszedłem na woły. Ładna odległość! — Więc wróćmy do kolibrów, bo rzeczywiście zasługują na to. Bez kolibrów byłby smutniejszy i mój dom i otaczająca mnie roślinność. Zdawałoby się wtedy, że jest mniej kwiatów, bo przecie kolibr to też kwiat, ba, nawet „całujekkwiat”! — I to kwiat żywy, latający, nie jednostajnej barwy, nie tylko czerwony czy żółty, biały, czy czarny, lecz kwiat najróżnobarwniejszy! Najkolorowszy! Patrząc na pachnące drzewo pomarańczy, która przez noc z zielonej zamienia się w cudo białym kwieciem pokryte — i nagle ta martwa biel ożywia się

wspaniale: nad śnieżnym kwiatem, z pszczelim dźwiękiem pojawiają się drgające kwiaty kolibrze: ptaszeczki malusienki, naprawdę jak pszczoły, o główkach czarnych z długim, nieco zakrzywionym dziobkiem, białe podgardle, ciało zielone, skrzydełka ciemnobrązowe, ogonki ciemniejsze, długie, nozki białe — i choć przybyło ich nie więcej jak sześć, czy dziesięć — już drzewo pomarańczy straciło swą biel, ożywiło się tęczą!

Złapałem jednego takiego kolibra w siatkę motyla: Patrę i oczom nie wierzę: wszystko jest inne, niż mi się zdawało, gdy nań patrzyłem w locie: piórka czarne nie są czarne: nie — są szmaragdowe; — Patrę uważnie, przez okulary i widzę, że tajemnica koloru tych przecudnych, najdelikatniejszych, niby kwieci puch, piórek, polega na refleksach świetlnych! Tak. Te jedwabne włoseczki, składające się na piórka odbijają światło! I w ten sposób tworzy się wprost tęcza barw, żywa tęcza, zależna od miejsca, od kąta, pod jakim na nie patrzymy. — Przymylniały mi się czasy, kiedy pracowałem w szlifierni t.zw. półszlachetnych kamieni: akwamaryna, topaz, a nawet i ametyst zmieniają kolor, zależnie od ścianek, nadanych im przez obróbkę i od siły światła, w jakim je oglądasz, a więc od refleksów. Tak więc i kolor kolibrów jest raczej nie w ich upierzeniu, lecz w świetle, jakie się w tych piórkach załamuje.

Wypuściłem ptaszka, który zresztą nie bardzo się swoją chwilową niewolą przejmował — i natychmiast wrócił do swych barw, jakie miał przedtem. Zupełnie nie zastraszony, zajął się zaraz kwiatami pomarańczy, bo pełne były rannego, świeżego, chłodnego nektaru. — Gdy go schwytałem, miał umorusany dziobek i jego nasadę żółtym pyłkiem pomarańczowego kwiecia: może wie, że za tak smakowite i delikatne pożywienie, jakie znajduje się na dnie kwiatu ma obowiązek przenoszenia kwiatnych pyłków. Praca to rzeczywiście odpowiedzialna, bo kwiaty żeńskie długo czekać nie mogą...

Byłem ogromnie ciekaw, jak takie małe stworzenie buduje gniazdko, gdzie je umieściła i jak wysiaduje. Długo szukałem, patrzyłem niedyskretnie, aż... znalazłem! Na wysokiej gałęzi pomarańczy, w miejscu gdzie listowie było gęste, w rozwidleniu, uwiły gniazdeczko malusienki, nie sięgało ani trzech centymetrów, a uprzedziły z puchu babiego lata chyba! Pościeliły malusienki szpileczki z trawy, zważyj się „capim de gordura” i wyszciliły włókienkami bawełny. Gniazdko nie było nawet bardzo zakryte — złożyły w nim dwa jajka wielkości... grochu, bieleńki, jak polski śnieg, — a umocowały je jedwabiem, w który zamienia się ślina, jaką samiczka snuje z dziobka. Nie dotknąłem, bo



trzeba było uciekać, by mnie nie dostrzegły i bałem się ten cud konstrukcji naruszyć, ale widziałem, że trzymało się mocno, tym bardziej, że znam się wiatru, jaki tu drzewami szarpie.

Nie minęły trzy tygodnie, gdy narodziły się młodziaki: podglądałem je swobodnie, wiedząc dokładnie gdzie jest gniazdo: były nie większe niż tłuste pszczoły, dziobki miały wiecznie otwarte i piszczały wiecznie. Matka i ojciec wracali co minutę, by je karmić: spadały z góry jak pikujące samoloty, zdawało się, że przebijają swymi długimi, niby kolibrze dzidy, dziobkami, stałe głodne piskłeta. Zanurzały im w gardłach całe dziobki! — A nie powiadałem wyżej, że mają języczki długie, w kształcie dwóch złączonych rurerek, którymi pewnie i nektar z kwiatów wyciągają i młode potem żywią. Jeszcze młode z gniazda nie wyszły, a tatęs z mamą już się wzięły do podżenia im sióstr i braci, ot, aby im wesele było. A może i z radości, że takie ładne dzieci mają. Akt miłości powtarzają dziesiątki razy, w powietrzu, na oczach całego świata. Niech wszyscy wiedzą jak się kochamy! Niech nas wszyscy naśladują, a będzie im dobrze!

Sliczne ptaszki! I dzielne: wybierają kwiaty o kielichach wąskich i głębszych, do których pszczoła wejść trudniej, a że motyle robią to samo, gdyż mają trąbki tak długie, jak kolibry, i mogą sięgnąć nimi, „gdzie wzrok nie sięga”, więc — gdy tylko ujrzą motyla, atakują go odważnie. Motyle tu wielkie, często jak dwie rozszapierzone dlonie i siłę mają w skrzydłach potężną! — Kolibr się nie boi: uderza z boku, z góry — strzępy leca z granatowych skrzydeł nektaropijcy, który zawsze tył podaje, a nie rzadko i życie w walce traci. — Zwycięzca, jak helikopter — zatrzymuje się w powietrzu, patrzy czy nie należy dobić nieszczęśnika i wraca do samiczki, która zawsze bój małżonka, także zawisnąwszy w powietrzu, obserwuje. — I teraz — samiec odprawia taniec miłości, czy tryumfu: tańczy w powietrzu dookoła kochanki, zatacza łuki, zygzaki, trójkąty. Wznosi się w górę, opada w dół — ba! Lata w tył! Tak: wstecz! nie odwracając głowy od swej kobiety! No, a potem — pocałunki — Trzeba to widzieć!

Dzielnie sobie poczyna jegomość — pan kolibr: niby średniowieczny rycerz, co to po zwycięskim turnieju, powrócił do swej wiernej małżonki. A ona, zachwycona, przytulna, uległa i jakże szczęśliwa! — Lecz „całuje-kwiat” walczy nie tylko z motylami; umie walczyć także i z szerszeniem, którego nabija na swój dziób-szpadę, że mu po tym ją wyciągnąć trudno. Ba, walczy też czasem i z innymi kolibrami, o wiele większymi od niego i nic się ich nie boi, niby pilot myśliwskiego samolotu. Tylko nie widziałem walki dwóch kolibrów tego samego gatunku. Zdaje się, że obowiązuje u nich solidarność rodu.

A jest tych rodów, jak twierdzą uczeni, 650! — Podobno nawet jakiś Amerykanin ma kolekcję, złożoną z 600! Cóż to musi być za gra barw! Można by z taką kolekcją porównać legendarny, choć może i prawdziwy, płaszcz Montezumy, który podobno, jak twierdzą historycy hiszpańscy, i sam płaszcz z kolibrzych piór nosił i cały swój dwór tak ubierać kazał.

Angielskie kroniki dworskie twierdzą, że na pokojach królowej Wiktorii stały we flakonach sztuczne kwiaty, z piór kolibrów zrobione. — Dobrze, że tego nie widziałem i nie zobaczę. Nigdy nie lubiłem sztucznych kwiatów. Ani z „całujekkwiatów” zrobionych. Wolę i kwiaty żywe i kolibry fruujące.

Jerzy Kossowski

(Felieton czytany na „Żywym Dzienniku” Kat. Osrodek Wyd. „Veritas” w Instytucie im. Gen. Sikorskiego w dziesięciolecie istnienia Osrodka.)

(Mówca wkłada okulary, których nigdy przedtem nie nosił.)

TE OKULARY nie są różowe; mam przecież mówić o „Veritasie”. Ale nie są też czarne. Nie mają również nic wspólnego z krótkowidztwem ani z dalekowidztwem. Odnaczają się natomiast tym, że niewiele przez nie widać, a chwilami, ni stąd ni zowąd, przestaje się widzieć w ogóle. Pragnąłem się tą okolicznością zasłonić i nie wystąpić w dzisiejszym świetnym gronie, ale górę wzięła miłość tradycji. Ostrzegając Państwo, że w każdej chwili mogę przestać czytać, poświęcę parę słów tej tradycji. Tradycji „Veritasowej”. Kierownik „Veritasu” przedwczoraj po południu zawiadomił mnie, że jestem przewidziany jako uczestnik dzisiejszego „Żywego Dziennika”. I że powinienem wystąpić, bo „ostatecznie też dość dawno pracuję w Veritasie”. Miłość własna zagrała jak wiatr w Sienkiewiczowskich koniach. Jakże to? Bez zgody, na dwa dni naprzód i „ostatecznie też”? Zwolna jednak przyszła refleksja: po co się opierać? Przecież w końcu będzie tak, jak tego chce Pan Józef Kisielewski. Człowiek posiada wolną wolę, ale nie w Katolickim Osrodku Wydawniczym.

Nie bacząc tedy na dziwaczne szkła, na złośliwe nadciśnienie, 260 systoliczne i 140 diastoliczne, na sfygomanometr, oftalmoskop, unieruchomienie żrenic, palpitacje serca, atherosclerosis, system kardiowaskularny, powiększenie serca, zwężenie aorty, stwardnienie arteryj, na mecamlaminę, serpassil i neostygmine, musiałem napisać poniższe, bodaj ostatnie w życiu, „Po lepkach”. Ale i tu pozostałem wierny tradycji. Wywołano wilka z lasu. Zresztą w czasie pobytu w szpitalu uświadomiłem sobie podobieństwo między onymże szpitalem a pracą w „Veritasie”, a poddał mi je odwołujący mnie tam przyjaciel Napoleon Sądak, który zawsze mawiał: „Trzeba mieć zdrowie, żeby wytrzymać w szpitalu”. Trzeba mieć też zdrowie...

...O, właśnie straciłem wzrok na chwilę!

Pewien wieśniak zwiedzający ogród zoologiczny miał wykrzyknąć na widok żyrafy: „Nie, w to nigdy nie uwierzę!” Goście z Kraju, zwiedzający czasem „Veritas”, mówią właśnie to samo. Nie chcą wierzyć, że z tej jaskini wychodzą w świat od lat setki tysięcy czasopism i książek. „Veritas” istnieje chyba tylko siłą tradycji. Nikt bowiem nie mógłby uwierzyć w istnienie w świecie materialnym tak nierzeczywistych zjawisk, założonych na samych sprzecznościach.

Pierwszym dzwem „Veritasu” jest jego ekonomia. Podobno każdy dział z osobna przynosi deficyt. Sytuacja jest mniej więcej

PO LEPKACH

NA JUBILEUSZ

taka jak ze znanym sklepikarzem starozakonnym, który się skarżył, że co dzień musi dokładać do interesu. „To z czego pan żyje?” — pytano. — „W szabas mam zamknięte” — odpowiadał starozakonny. Różnica polega na tym, że „Veritas” zamyka się w niedzielę, a nie w szabas, chociaż poza tym obchodzi Bank-Holidaye, a nie święta kościelne.

W przeciągu ostatnich dziewięciu lat koszt utrzymania wzrosły podobno w Anglii o 100 procent, a zarobki dwu, a nawet trzykrotnie. W „Veritasie” jest odwrotnie. Dzie-



więć lat temu otrzymywało się o 5 funtów więcej niż obecnie. Jedynym argumentem dla kierownictwa, jeśli chodzi o zarobki, są dzieci. Bezdzielnosc oznacza w „Veritasie” zamrożenie zarobków.

Przyjrzyjmy się dalszym dziwom „Veritasu”. Jest to instytucja, której finansami rządzi inżynier, i to o zainteresowaniach teologicznych, stąd przez księży zwykle zwany „inżynierem teologii”. Inżynier jest też kierownikiem wydawnictw dla dzieci. Kierownik z reguły bierze na siebie rolę cenzora kościelnego, kierownik drukarni pasjami lubi pisać recenzje plastyczne i sprawozdania z koncertów, stolarz jest naczelnym maszynistą (dziś zresztą po kilkunastu latach praktyki majster nad majstry), linotypista elektrotechnikiem, za to pisarka, najwybitniejsza poetka na emigracji, brudzi swoje palce i Veritasowe stoły mazia adresografu. „Veritas” wydaje pismo, które czasowo nie ma redaktora, prowadzi księgarnię bez sklepu, wydaje książki wielokolorowe i o nakładach idących w dziesiątki tysięcy bez maszyny autotypograficznej. Jest to poza tym instytucja bez

pieniędzy i bez poparcia tych, od których by się najbardziej należało go spodziewać. Prasa emigracyjna od wielu lat po prostu nie przyjmuje do wiadomości istnienia „Veritasu”. Używanie tej nazwy jest w pewnych pismach zakazane. Parę dni temu z pewnego dziennika dowiedzieli się czytelnicy, że w Londynie odbywa się „Katolicki Tydzień Wydawniczy” oraz wystawa książek, lecz imię organizatorów ostonięto ściągając tajemnicą.

Najpopularniejszy i największy tygodnik emigracyjny, wydawany przez „Veritas”, posiada jedynego redaktora, wielki dom wydawniczy jednego wydawcę „Biblioteki Polskiej” i jednego działu książek religijnych i dla młodzieży. Są oni równocześnie sekretarzami, lektorami, adustatorami, redaktorami technicznymi i technkami reklamy.

Oddany nasz Przyjaciel, Ks. Prałat Stanisławski, bierze dorocznie za przedmiot wigilijnego przemówienia do pracowników „Veritasu” porównanie Praed Mews do stajenki betlejemskiej. Nawiasem mówiąc Opiatki w „Veritasie” dzielą się na suche i mokre. Te ostatnie przypadają na lata przestępne.

Trzech linotypistów składa największe nakłady książek i tygodników emigracyjnych. W cenniejszej komórze mieści się drukarnia o największych obrotach na obczyźnie.

250 książek własnych i około 100 dla klientów, jedenaście roczników ŻYCIA, dziewięć „Gazety Niedzielnej”, trzy „Drogi”, kilkadziesiąt roczników innych pism polskich, litewskich, lotewskich, węgierskich i słoweńskich wydała drukarnia o dwu i pół starożytnych płaskich maszynach, trzech dychawiczych linotypach i z zestawem zecerskim sięgających czasów saskich.

Z dwu głównych postaci na Praed Mewsie, jedna, dyrektor Osrodka, nigdy na nic nie ma czasu, wobec tego żadnej sprawy nie można z nim załatwić od razu, za to druga, kierownik drukarni, ma zawsze nadmiar czasu, skutkiem czego także żadnej sprawy nie można z nim załatwić od razu, bez uprzedniego wysłuchania obszernych referatów: politycznego, organizacyjno-społecznego i towarzyskiego.

Jeszcze innym dziwem „Veritasu” jest zespół pracowników drukarskich. Od dziesięciu lat z „Veritasu” drukarze odchodzą. Nie ma dziś w Londynie i okolicy żadnej polskiej drukarni, żeby nie zatrudniała byłych pracowników „Veritasu”. A jednak „Veritas” istnieje i bynajmniej nie zmniejsza wydajności swojej drukarni. Eppur si muove...

Gdy więc w dziesięciolecie Katolickiego Osrodka Wydawniczego zastanowić się, jak by go należało poprowadzić, każdy ze współpracowników odpowie bez wahania: tak jak dotąd. Bo skoro dotąd wytrwał, to widac cudownie. Ostatecznie też dzięki pracy trzydziestu paru ludzi. Ale przede wszystkim dzięki łasce Bożej.

J. B.

KSIĘGARNIA K.O.W. „VERITAS”

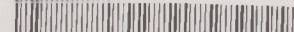
POSIADA NA SKŁADZIE WIELKI WYBÓR KSIĄŻEK EMIGRACYJNYCH I KRAJOWYCH

NA ŻĄDANIE WYSYŁA BEZPŁATNIE KATALOGI

PRZYJMUJE ZAMOWIENIA LISTOWNIE I TELEFONICZNIE

CZYNNIA: Poniedziałek — piątek 9-6 i sobota 9-12.

12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.



NOWY DOM

Napisała JANINA WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA

Przyjaźń z grabarzem nie bywa rzeczą częstą. Podobnie jak osobę kata, postać grabarza otacza pewna tradycyjna dyskrekcja, jak gdyby dla ukrycia wstydlwego zabiegu popelnianego przeciwko naturze w pierwszym wypadku, a zbyt naturalnego w drugim. W żadnym zaś nie jest to rzecz przyjemna.

Toteż stary pan Jakliński zdawał sobie sprawę, że przede wszystkim nie należy o niej mówić. Początkowo też jego sympatia dla starego Cazanave żenowała go nieco i ilekroć ten przysiadł się do wielkiego stołu w karczmie „Pod czarnym koniem”, pana Jaklińskiego nawiedzała ostrożna rezerwa. Później dopiero przekonał się, że była ona naleciałością czysto miejską i niewłaściwą na wsi, ponieważ Cazanave pracował tutaj głównie jako murarz i był nawet przedsiębiorcą budowlanym, czego trudno się byłoby domyślać po jego obszarpanym i biednym wyglądzie. Cóż zaś bardziej przeciwnego grabarstwu jak zawód murarza, którego dziełem były te wszystkie wesole i jasne domki od strony rzeki oraz wszystkie reparaacje starych domów we wsi. Toteż ludzie młodzi widzieli w starym Cezanave nade wszystko twórcę ich nowych siedzib, sprzymierzenca nowożeńców i ludzi dorabiających się, zabiegali więc pilnie o zapewnienie sobie jego pracy, ponieważ budował solidnie, szybko i taniej niż miejscy przedsiębiorcy. Skutkiem czego stary murarz był stale przepracowany, mimo swoich trzech pomocników i tylko w niedzielę, po Mszy zachodził do karczmy na krótko na jednego calvadosa.

Ale pan Jakliński dobiegał już lat sześćdziesięciu siedmiu i w tym wieku wypadło mu już raczej myśleć o końcu dni swoich niż o jasnych ścianach nowego domu. Nie szło tu zresztą o wiek, bo w Saint-Etienne-de-Prés ludzie umierali po osiemdziesiątce z okładem, a trzymali się krzepko do ostatniej chwili i śmierć ich miała często charakter dobrowolnego „basta”, nie zaś nieuchronnego wyroku losu. Nie wiek więc kłopotał Jaklińskiego. Natomiast obciążał go fakt, że był emigrantem, co w samym tym słowie zawierało stokrotnie większe steranie niż u tubylców. Wzruszał ramionami nad ich spokojnym trybem życia, które chroniło ich od niezdrowego tempa wielkich miast i „nowoczesności”, darząc sówicie dostatnią przyjemnością bez wyskoków heroizmu i wszelkich nadużyć moralnego hartu, niewątpliwie skracającego ziemski pobyt człowieka. Sam czuł bez żadnej przesady, że z jego osobistego życia dało by się wykroić kilkadziesiąt innych żywotów, awanturzystycznych i ciekawych jak sensacyjna powieść, było więc zrozumiałe, że mógł uważać się za znacznie starszego niż był w rzeczywistości, a co za tym idzie mocniej niż inni podkopanego na zdrowiu.

Za pierwszy poważny podkop poczytywał tak serca, który minął „szczęśliwie” i bez następstw, jak cieszyła się jego rodzina, ale który był oczywistym i pierwszym dzwoniącym się głosem śmierci. Przewidywać musiał, że nadejdzie atak drugi, a może i trzeci, rozstrzygający. Życie pana Jaklińskiego ułożyło się więc w tych oczekiwanych etapach nieznanego, jak między słupami granicznymi obcego kraju, którego nie posiadał mapy.

— Ojciec nie powinien się przemęczać — nawiała stale synowa — przemęczenie jest najgorsze.

A przecież wciąż zarzucała go różnymi pracami. Oczywiście, żadna z nich nie była

ani szczególnie męcząca, ani niebezpieczna, a Jakliński, jak każdy człowiek stary, lękał się poczucia własnej bezużyteczności bardziej niż czegokolwiek na świecie, robił więc wszystko, co było do zrobienia powolnie, ale ochoczo. Przycinał więc drzewka w ogrodzie, gracował ścieżki, naprawiał narzędzia ogrodnicze, naprawiał żywopiół, pełł grządki i biegał drzewa, zimną zaś chadzał nawet do sąsiadów pomagać obdierać liście kukurydzy i wiązać ją w długie, sążniste warkocze, grubości tegiego drzewa, które zwisały potem z dachów domów prawie do ziemi, jak złote kolumny. Jesienią szedł do ludzi na wino-branie (Jakliński własnej winnicy nie posiadał) i w nastroju prawie nabożnym uciął grona, spadające mu w dłoń jedwabistym i lepkiem, a od słońca ciepłym ciężarem.

Poza tymi zajęciami codziennego opatrywania gospodarstwa, wiele czasu poświęcał wychowaniu wnuka, co było jednak bardziej jego pobożnym życzeniem niż rzeczywistością, obiecywał sobie jednak oddać się temu całkowicie, czy ten nieco podrośnie. Było to dziecko czteroletnie, zbyt jeszcze małe na „stotne „wychowanie”. Jaklińskiego niecierpliwiło to dzieciństwo, niezdolne jeszcze do wchłonięcia tego wszystkiego o dziadek chciał mu dać. Stary pan był więc skazany na wewnętrzny monolog, co w rodzaju przepowiadania sobie znanej lekcji, zanim ją będzie mógł przelać w duszę malca. Z tego też punktu widzenia powinien żyć jeszcze przynajmniej lat kilka. Bo gdy jego zabraknie, ktoś to zrobi? Syn, pracujący dzień cały w biurze kreslarskim w mieście, wracał do domu wieczorem i zabierał się natychmiast do tego nieszczęsnego ogrodu, który dawał im wprawdzie własne jarzyny i owoce, ale zabierał też cały czas aż do wyciągnięcia z człowieka wszelkiej wolnej chwili, czyli zaduszał każdy polot myśli, spychając ją do rzędu rzeczy niepotrzebnych. Wieczór zaś radio i pobożna lektura gazety — to było wszystko. Zapewne, chłopiec był mały, ale jeżeli tak pójdzie dalej...

— Właściwie, gdybyście byli wrócili do kraju, to tak samo nie miałbyś nigdy na nic czasu. Tam po pracy zawodowej cała reszta dnia to jakieś zbiórki, obowiązkowe kursy, odczyty, żadnego życia osobistego. Na to się wszyscy skarżą i słusznie. A to co? Ten wasz ogród i ogród i to brikolowanie bez końca. To też nie jest życie.

— Cóż ojciec chce? Muszę zapewnić byt rodzinie, robię co mogę i nawet więcej. Uważam, że spełniam dobrze swój obowiązek.

— Bardzo źle, że tak uważasz. Oszczędzanie kilkanaście franków dziennie na jarzynach i świata nie widzicie poza tymi porami, tą waszą endywią i kalafiorami. Zrobili się z was mali Francuzi, ot co!

Na takie powiedzenie Karolina wpadała w gniew i oburzenie, podobne do leżącego potoku.

— Ze też ojciec może mówić podobne rzeczy! Ze wreszcie raz Po'acy nauczyli się pracować tak jak na Zachodzie, a nie żyć nad stan, że mają wreszcie trochę trzeźwości, a nie bujają w obłokach, to chyba tylko nakazuje szacunek, nie? Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy nie brali się z życiem za łeb...

— Za łeb, za łeb... O tym łbie powtarzało się stale, była to ulubiona formuła Karoliny. Częstsza ostatnio niż „zębami i pazurami”,

którym to powiedzeniem szafowała w pierwszych dniach małżeństwa.

Ale cóż miało znaczyć to „nie żyć nad stan”? Do kogo ona to piła? Stary Jakliński rozważał to często z drobiazgową skrupulatnością. Czyż by to miało odnosić się do niego? Czyż on żył kiedykolwiek nad stan? Głupia Karolina...

I przemierzał swoje życie w tyl wielkimi krokami i podrzucał wspomnienia jak ziemię na łopacie. Cóż do diabła! Był przed wojną urzędnikiem średnio płatnym w województwie tarnopolskim, wystarczyło mu na życie skromne, ale bez wstydu, dom miał własny (po żonie), mieli służącą — to prawda — ale ktoś w Polsce nie miał służącej? Prenumerował pisma i wypożyczał książki w miejskiej czytelni. Miał czas je przeczytać. Oboje z żoną czytali. Czasami chadzali na przechadzki, rozmawiali, mieli znajomych. Raz w miesiacu urządzali brydla dla przyjaciół, dwa razy na miesiac bywali w kinie. Czyż to było życie nad stan? Należał do klasy „inteligencji”, wydawało mu się, że miał do tego prawo, a że miał prawo, więc i obowiązki inteligenta. Cóż u diabła! Pewnie, była pewna stałość, pewna ciągłość dnia za dniem, podczas gdy młodość syna zagarnęła już wojna i jej nieporządek. Ale wojna już dawno się skończyła i prawdę mówiąc, Henryk i Karolina już od kilkunastu lat zapuścili korzenie. Ale wciąż jechali tą wojną, tymi jej przyczynami i skutkami, wciąż wszystko dawało się nią usprawiedliwić i objaśnić. Pewnie, pewnie na rozum biorąc...

Ale gdyby tak wszystko tylko brać na rozum, to lepiej by sobie w ten łeb wyżej wzmiankowany palnąć krótko i węzłowato. Wzruszał ramionami. Prawdziwy rozum nakazuje właśnie brać w rachubę te inne potrzeby człowieka, że tak zwane — jak to się nazywa? — impoo... imponderabilia. Nie o nazwę zresztą idzie. Fakt pozostaje faktem. Zeby taki Henryk nie miał nigdy czasu nic przeczytać, nad niczym się zastanowić... I... do jakiej klasy, do jakiego stanu on właściwie należy? Niechby był prostym robotnikiem, ale niechby potem coś przeczytał, o czymś mówił, niechby miał to podwójne życie, jak przystało w ich warunkach, jak tego wymagała ich godność uchodzących. Tak, godność, to jest wyraz właściwy. To znaczy byłby właściwy, gdyby... Nie, z Henrykiem nie można już używać takich słów. I przez wzgląd na Henryka i przez wzgląd na syna. Może prawda jest, że w przyrodzie nie ginie, ale wiele rzeczy pełni. A spełniać to gorzej niż umrzeć.

Taka była filozofia starego pana Jaklińskiego, a że był stary, więc już wydawało się innym, że zmysł życia się w nim obłąniał. Zresztą Henryk nie tylko z nim nie rozmawiał po ludzku. Z nikim. Z żoną rozmawiał o doraźnych sprawach materialnych. Nie klócili się nigdy, byli wyjątkowo zgodnym małżeństwem. No, bo na jakich temat mogliby być niezgodni, skoro zawsze wszystko można było przetłumaczyć na cyfry i na stronę praktyczną? Ważna to rzecz, praktyczność, ale że załatuje prostytutką, to załatuje, na to rady nie ma. Tylko, na mołość Boską, nie wtrwać się z czymś podobnym, nie chlapać czegoś w tym rodzaju!...

Od zalet synowej aż się dusił. Karolina miała same zalety i Jakliński nie mógł zo-

zumieć, że można ich tyle pomieścić w jednej osobie i od tego nie wybuchnąć pewnego dnia czy pewnej nocy. Nocy... przecież zdarzyło się, że ptaki obok ich ogrodu zaciągały się śpiewem tak, że gwiazdy przestały mrugać. A Karolina poszła ułożyć małego do snu, bo to była pora układać małego do snu. Była oszczędna, zapobiegliwa, pracowała nad podziw, przewidująca i wytrwała także nad podziw. No więc, skoro tak wszystko było w niej nad podziw, to cóż dziwne go, że nie mógł jej podziwiać? Wyrzucał sobie niesprawiedliwość i nie podziwiał.

Wieczną bolączką było tylko to, że był na utrzymaniu syna. Oddał mu co prawda wszystkie swoje oszczędności jeszcze z czasów swojej pensji wojskowej, ale nie była to wielka suma i nie mogła go wybacić od zaleźności. A na znalezienie pracy w jego wieku nie było co liczyć.

Rzadko też mógł zająć „Pod czarnego konia”. Tylko wtedy, gdy zaprosił go ktoś z sąsiadów, co zdarzało się niekiedy, bo miał mir u ludzi. Razu pewnego zaprosił go na partię belotki ten właśnie Cazanave, wyłożył za niego małą stawkę, wtajemniczył w zasady gry, siedli za stołem we czterech: grabarz, stary Vigneau, Jakliński i majster piekarski Pourcade. Pociągali tutejsze czerwone wino z grubych szklanek i karta Jaklińskiego spała się jak bela. Szła mu jakby kto spust otworzył. Oczom własnym nie do wierząc wygrał indyka. Tłustego, ogromnego indyka, o którego szła gra. Śmiało się, że zawsze nowograjacy ma takie szczęście. Jakliński, z bijącym sercem, owinął indyka w gazetę. Cieszył się zdobyczą i tym, że los uśmiechnął się do niego osobiście, do niego samego „ad personam”. Zimnego, ciężkiego ptaka złożył w kuchni na stole i z tryumfem odpakował.

Ale radość była mniejsza niż zdumienie i — co tu dużo gadać — konsternacja. Synowa była bardziej przestraszona niż ucieszona, napadło ją widać ponure podejrzenie, że ojciec grywa w karty. „Przecież ojciec mógł przegrać”... „Może w dodatku pije? Pije za cudze pieniądze, z chłopami w karczmie, on, który im zarzuca, że są „małymi Francuzami”... Syn uśmiechał się blade, niezdeterminowany co rzec.

Oczywiście, indyka zjedzono ze smakiem, ale bez entuzjazmu. Jakliński był zły na syna i na synową i meł w zębach to co miał na sercu i na końcu języka.

Od tej pory chciał grać. Nie grał, rzecz prosta, lecz zachodził nieraz do tej oberży jako kibic, rzucić okiem na grających. Do grabarza zaś czuł sympatię i wdzięczność, zagadywał go, gdy się spotykali na drodze, pytał o jego wnuka, uśmiechał się swoim dawnym szczerym uśmiechem człowieka, który lubił lubić. Jak gdyby ten wygrany dzięk grabarzowi indyk odsunął myśl od śmierci, i złotym tłustym ciałem odgrodził Jaklińskiego od dołu wykopanego w ziemi.

Tak zaczęła się przyjaźń z grabarzem. O zachodzie słońca stary pan chodził na spacer. Była to „jego pora”, gdyż lubił przerywnywać schylek dnia do starości, nie troszcząc się bynajmniej banalnością tego zestawienia. Śmierć była też zjawiskiem najbanalniejszym w świecie, a przecież...

Najbardziej lubił zachód nie tyle pogodny w klasycznym złocie i czerwieni, ile ten inny, odgrywiający się w głębiokich kul'sach spiętrzonych obłoków sino żelaznych i fioletowych. Wąski pas światłości przebiegał przez nie jak z otchłani i wtedy wydawało się, że niebo przypatruje się ziemi zmrużonym okiem krótkowidza. Samo słońce było wtedy gdzieś bardzo daleko, jak gdyby nie

zachodziło wcale za widnokrąg, ale oddalało się w głąb, okopując się coraz to nową warstwą kolorowych chmur, aż te zsunęły się razem dyskretnie, delikatnie, gdy ono jeszcze nie dogorywało. Taki zachód słońca leczył nostalgicę zmierzchu. Pozwalał wyobrazić sobie, że dzień się nie skończył, że powróci, po chwilowej nieobecności. Czasami istotnie wracał. Wtedy nad linią podwózkowych zabudowań, niebo rozcinała długa szrama i trwała aż do nadejścia nocy.

Jakliński obserwował pewnego wieczoru taką szramę, która poczynała się tuż za kukurydzianą dalszego ich sąsiada i sięgała swym drugim końcem po budkę nowo-wybudowanego transformatora. „Wszystko więc kończy się na poziomie człowieka — zakonkludował wtedy — nawet słońce.”

I wrócił do domu, bo wieczór robił się chłodny. Przez okno swego pokoju mógł widzieć jeszcze, że ten poziom wciąż się zniżał i zniżał, ale tego dnia zajął się od razu rozceraniem zakrzepłej w puszcze minii, którą miano powlec żelazną siatkę ogrodu przeciwko rdzy. Gruby kożuch stwardniałej cieczy odsakował od kopystka muskularnie, jak płat świeżo ukrojonego mięsa, terpentyna nie dawała się wchłonać. Może by podęgrzać? Poszedł do kuchni i na gazowym płomieniu rozcierał dalej. Płomień nie syczał, a pantofle Jaklińskiego były na gumie.

Dzięki temu nie usłyszano go w pokoju obok, a natomiast on usłyszał głos Karoliny właśnie w chwili, gdy mówiła o minii.

— Może lepiej nie używać jej tego roku? ...Pal diabli te siatki, i tak już nie jest dobra, a minia taka strasznie droga. Mielibyśmy wtedy na pociągnięcie głównej bramy i furtki od potoku. To chyba lepiej. Pomyśl, sam balkon to jest dwadzieścia sześć prętów, a poręcz, a okiennica od garażu... Wewnątrz i zewnątrz... Już nie lecząc drzwi...

Jakliński słuchał zdziwiony coraz bardziej. W domu nie było ani balkonu, ani furtki od potoku, a garaż miał drzwi drewniane.

— Czy ja w'em — usłyszał głos syna — lepiej by zaoszczędzić minii. Ale znowu, z drugiej strony, nie pomalować teraz, to farba się złuszczy jeszcze bardziej i przy sprzedaży dom będzie wyglądał zaniedbany. To źle. Wiele zależy od zewnętrznego wrażenia.

— Bah! Oczywiście, że pomalować! Ale bez minii. Wprost farbą na siatkę i koniec. Nikt tego z oka nie odróżni, sam wiesz. A że nie będzie to trwałe, to już niech się nabywa tym martwi.

— Nie wiadomo, czy tak prędko się wyprowadzimy. Trzeba to dobrze rozważyć...

— Mój drogi, ojciec nie pociągnie dłużej niż rok, półtora roku. To trzeba sobie wiedzieć. A na nowym gospodarstwie chcę mieć wszystko przywoicie. Dostyc tego ciąglego łatania dziur i podpierania tej rupieciarni. Każdego grosza szkoda. Cazanave też za robotę pliczy, samo odnowienie dachu oblicza z grubszą na trzydzieści tysięcy. Też nad grobem stoi, ale oni do ostatniej chwili zbijają swoje „sous”...

Siny płomyk gazu zgasił równie bez szmeru jak się zapalił i równie bez szmeru stary Jakliński, postawszy jeszcze chwilę w miejscu, wycofał się z kuchni. W pokoju nic już więcej na ten temat nie rozmawiano, Henryk otworzył aparat radiowy i zacharkotała muzyka poplątana z urywkami jakiegoś komunikatu z innej stacji. Aż do góry, w malej mansardzie Jaklińskiego było słychać przez zamknięte drzwi chrapliwy głos speakeera w syku złego odbiornika.

Nagły śmiech wstrząsnął Jaklińskim. — Kupią sobie nowy, porządny... — I śmiech

ten zagotował w nim to wszystko co usłyszał przed chwilą, w jak śś odurzający wywar, niby opar z kotła czarowni.

A więc to było tak! Ciekawe tylko, czy to było zdanie lekarza, które przed nim ukryto, czy też prywatna racluba dzieci. Rok, — półtora roku...

Reszta... Co do reszty... Opar jak z kotła czarownic gęstniał i zamrzczał, gardło zrobiło się suche, a czoło wilgotne od potu.

Przypomniał sobie nagle, że lekarz przestrzegał przed „emocjami”. Emocja... Nie, jeszcze nie ta. Nie ta! Nie dać się, nie dać się!... Jeszcze nie! Jeszcze wiele rzeczy chce wiedzieć, choćby na przykład... Na przykład...

Nazajutrz powziął wszystkie myśli jasno i przypatrywał się jak wyglądały. Wyglądały też bardzo jasno.

No cóż, był starym człowiekiem zagrożonym śmiercią. Kiedyś trzeba przecieć umrzeć. Zawsze sam to mówił i chwalił się, że jest zupełnie przygotowany na tę okoliczność. Ze młodzi robili plany na przyszłość, to także było naturalne...

A oto teraz wiedział, że to wszystko było nieprawda. Nikt nie jest przygotowany na śmierć. Najmniej może ci, który to gloszą. I to też nieprawda, że był starym człowiekiem. Nie ma starych ludzi. Są tylko stare ciała. To tylko stare ciało zwycięża w końcu człowieka. Ale... „w końcu”. A on był jeszcze daleki od tego końca, był coraz dalszy. I to, że młodzi układają sobie jakieś plany, z których on był już wykluczony i nieobecny, to także im się tylko tak zdaje. Miał jeszcze tak wiele do zrobienia przed sobą, jeszcze nie zaczął prawdziwej starości. Za dwa lata dopiero mały pójdzie do szkoły, trzeba go będzie odprowadzać i przyprowadzać, a co ważniejsze, trzeba będzie powiedzieć mu wiele rzeczy, których tam mu przecieć nie powiedzą. Rodzice nie będą mieli czasu. Może nawet umiejętności ani ochoty. ...Będą pracować, a po całodziennej pracy urządzać nowy dom i zajmować się ogrodem.

Bo na pewno będzie tam ogród i znowu jarzyny.

(Ciąg dalszy nastąpi)

HONORE DAUMIER

(Dokończenie ze str. 28)

nowaga Europejska”, a przedstawiających baka wirującego na ostrzu przedli lub personifikację Europy na tocącym się, dymiącym granacie, są równie aktualne dzisiaj, co w połowie wieku XIX albo przed 500 czy 900 laty.

„Biuro rozbrojeniuowe” (reprodukcje str. 28) nie wymaga komentarza ani podpisu: ugrzecznione gesty stojących przed drzwiami będą zrozumiałe tak długo, jak długo nie zaniknie w narodach instynkt nieufności i samoobrony. „Aktualności” z lat 1854-56, gdy toczyła się wojna krymska, są w dużej części satyrą na Rosję. Dwie z nich, reprodukowane na str. 28 („Najbardziej zdyscyplinowani żołnierze świata” i „Rosja uczyca Mol-dawów i Wałachów dobrych obyczajów oraz ogłady”) są do dzisiaj, i właśnie specjalnie dzisiaj, tragicznie łatwo zrozumiałe.

W Daumierze zdumiewa potęgą i prawdą wizji artysty. On — który jako karykaturzysta ulegał bardziej niż inni modnym a naiwnym zabobonom swojego wieku: antyklerykalizmowi i antymonarchizmowi, umiał jednak w chwilach prawdziwej wielkości stworzyć przekroczyć ciasne i zatęchłe opłotki demoliberalizmu, aby ujmować zwięźle i pięknie najistotniejsze sprawy życia człowieczego: głębię i urodę smutku, potęgę gniewu, odpychającą brzydotę podłości.

M. P.

**HONORÉ DAUMIER****AKTUALNOŚĆ „AKTUALNOŚCI”**

Pracowite życie Honoriusza Daumier (1808-1879) upłynęło w biedzie, by zakończyć się niemal w nędzy. Jeden z najwybitniejszych malarzy i rzeźbiarzy francuskich XIX wieku, a zapewne najwybitniejszy litograf cieszył się u swych współczesnych tylko przemijającą i kapryśną sławą świetnego karykaturzysty. I tu jednak wyrządzono mu krzywdę: widziano trafność i aktualność jego karykatur, nie spostrzegając ani ich wielkiej wartości artystycznych, ani ponadczasowego znaczenia problemów, które w twórczości swej poruszał, łącząc gorzki realizm i gryzącą ironię z głębokim liryzmem.

Dziedzina sztuki, której nasz artysta był najwierniejszy, to jednak nie malarstwo (ani tym bardziej rzeźba), ale litografia. Tu stosunkowo młoda gałąź grafiki (wynaleziona w 1796 roku przez Senefeldera interesowała i interesuje większość najwybitniejszych artystów XIX i XX wieku ze względu na swoje możliwości kolorystyczne połączone z (ograniczoną wprawdzie) szansą powielania dzieła



będzie rozumiany i doceniony. Ale karykatura, której śmieszność w pełni ocenić tylko można będąc osobiście zainteresowanym świadkiem przebiegu wypadku, tracić powinna wprędce swoją wymowę i ostrość.

I rzeczywiście, większość „Aktualności” interesować by dzisiaj mogła tylko historyków połowy XIX wieku, gdyby nie ich niepospolite wartości artystyczne: siła rysunku, oraz doskonałość i zwięzłość kompozycji. W wielu jednak wypadkach litografie Daumiera są czymś więcej niż ironiczną kroniką, niż satyrą na jakąś osobistość, czy grupę polity-

na. Dzieje narodów zależą od tych samych namiętności, zalet i przywar co los pojedynczego człowieka. Stąd uważne patrzenie w przeszłość jest przydatne w ocenianiu dzisiejszości i pozwala z niejaką dokładnością wnioskować — nie o przyszłych zdarzeniach wprawdzie, ale o nurcie tych zdarzeń. Niektóre z pośpiesznie kreślonych wizji Daumiera chwytają właśnie ów nurt rzeczywistości, który zapewnia im niemijającą aktualność. I tak kilka litografii zatytułowanych „Rów-

(Dokończenie na str. 27)

przy zachowaniu jego oryginalności. Wielu też artystów wykonuje litografie, ale niejako na marginesie malarstwa czy rysunku. Daumier poświęcał im jednak lwią część swego twórczego życia, nieledwie od dzieciństwa do zgonu. Najważniejsze z przypisywanych mu prac w tej dziedzinie pochodzą z roku 1822, czyli z czternastego roku życia artysty. Właściwie jego twórczość litograficzna datuje się od 1830 roku. W ciągu pięćdziesięciu lat stworzył ponad 4.000 litografii, przeważnie jednobarwnych, wykonywanych kredką wprost na kamieniu. Część to karykatury.

Karykatury te, w zależności od tematyki, wchodziły w skład zatytułowanych cykli jak: „Lokatorzy i właściciele”, „Typy paryskie”, „Cudzoziemcy w Paryżu” itp. Jeden z nich — przewijający się przez różne lata — stanowi swoistą kronikę dziejów stulecia i nosi tytuł „Actualités” — „Aktualności”. Cykl ten — zdawało by się — skazany być powinien najłatwiej na zdezaktualizowanie. Śmieszności ludzkie, wywołane przez zarozumiałość, nieuctwo, chciwość, są nieśmiertelne i każdy, kto trafnie z nich drwi — czy będzie nim Arystoteles, Moliere, czy Goya,

